Numer podwójny — 12 str. Cena 10 łz.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 1–7 września 1946 r. | Nr 34–35 (62–63)

Adam Polańczyk

Najwierniejsi

Kiedy 1 września 1939 roku armia niemiecka wkroczyła na nasze terytorium, wynik walki był już przesądzony. Okazało się, że armia polska jest kompletnie nie przygotowana do prowadzenia nowoczesnej wojny.

Po przejściu Niemców

Brak było lotnictwa i broni pancernej, mobilizację przeprowadzano z przerażającym wręcz niedołęstwem, organizacja i wyszkolenie armii nie odpowiadały absolutnie wymaganiom, jakie stawia konieczność walki z przeciwnikiem świetnie zorganizowanym, rozporządzającym przygniatającą przewagą liczby i uzbrojenia. Naród polski musiał zapłacić krwią, łzami i cierpieniem za grzechy i błędy rządów sanacyjnych.

Zapewniano nas wielokrotnie, że obrona narodowa i polityka zagraniczna, to dwie dziedziny zagadnień, do których rząd przywiązuje szczególną wagę i że wręcz szaleństwem jest obawiać się jakichś błędów niedociągnięć w tym zakresie. Rok 1938 rozwiał wszelkie złudzenia co do sensowności polityki zagranicznej rządów sanacyjnych, rok 1939 skompromitował sanację jeszcze dotkliwiej, gdyż okazało się, że jesteśmy kompletnie nieprzygotowani do prowadzenia poważnej wojny.

Sanacyjni dostojnicy zarówno cywilni jak i wojskowi wyciągnęli z tych faktów jeden tylko wniosek: że powinni ratować swoje cenne głowy, by naród, na który tyle spadło nieszczęść, nie utracił przynajmniej swojej nieocenionej i niezastąpionej „elity". Piłsudski zaczynał swój pochód ku „mocarstwowej" Polsce nieszczęsną wyprawą kijowską, jego następcy zbudzili się ze swoich „snów o potędze" na zaleszczyckiej szosie.

Polityka awantur, improwizacji i blagi staczała się latami ku coraz bardziej nieodpowiedzialnej farsie, by zamknąć się finałem kompletnego bankructwa.

Ale żałosny epilog legendy legionowej był zarazem pierwszym aktem tragedii narodu. I tragedia ta odsunęła w cień nędzne figury sanacyjnej „mocarstwowej" operetki. Dziś budzą one tylko wstręt pomieszany z politowaniem. Maleńcy, żałośni ludzie, którzy nie zasłużyli nawet na gniew nienawiść.

Klęska wrześniowa rozwiała dawne mity i legendy, ale wysunęła z cienia na plan pierwszy realną siłę narodu: prostego żołnierza, chłopa i robotnika, który bronił Helu, Modlina i Westerplatte, który ginął na barykadach Warszawy, który — zmobilizowany ale nieuzbrojony — często setki kilometrów wędrował szukając swojej jednostki, ze łzami w oczach błagając spotkanych oficerów o przyjęcie do oddziału, o karabin.

Widzieliśmy często całe kompanie, a nawet bataliony, które opuszczone przez dowódców nie rozpierzchły się, ale wycofywały się we względnym porządku — pod dowództwem jakiegoś młodszego oficera-rezerwisty, podchorążego lub nawet podoficera. Szły i szukały jakichś ośrodków koncentracji ,jakichś punktów oporu, na których możnaby myśleć o wstrzymaniu nieprzyjaciela.

My, którzy w szeregach wojska przeżywaliśmy piekło wrześniowego odwrotu, ciągle tropieni przez nieprzyjacielskie samoloty, pozbawieni często łączności z większymi grupami naszej armii, dezorientowani fałszywymi pogłoskami, wiemy dobrze, ile hartu wykazał prosty żołnierz w tych strasznych dniach.

Pamiętamy wyładowane walizami i bagażami samochody, które w panicznej ucieczce mijały znużone wielokilometrowym marszem kolumny piechoty. Ileż to razy odmawiano zabrania na te „ewakuacyjne" samochody rannych żołnierzy! Ileż razy trzeba było stosować taki argument jak bagnet lub pistolet, by zmusić jakiegoś „dostojnika" do zabrania na swój wóz rannego, który nie był w stanie maszerować dalej, a nie chciał za żadną cenę dostać się do niewoli.

Żołnierza polskiego nie złamała nawet ta stale rzucająca się w oczy dysproporcja pomiędzy jego zapałem bojowym i wiernością dla polskiego sztandaru, a tchórzostwem i egoizmem wielu przedstawicieli zawodowej kadry oficerskiej oraz wszelkiego gatunku cywilnych „dygnitarzy". W ostatnich dniach września trwał jeszcze duch oporu i twarda, rozpaczliwa determinacja. Armia polska, rozproszona i rozbita, jeszcze zdolna była do walki, pełna ducha bojowego i ożywiona gorącym patriotyzmem. Ciosem ostatecznym stała się dla niej dopiero kapitulacja Warszawy.

Napewno niejednokrotnie umundurowany chłop czy robotnik polski nie potrafiłby dobrze wytłumaczyć, dlaczego tak bez żalu i wahania gotów jest oddać krew i życie za ojczyznę, która często była dla niego raczej macochą niż matką, ale swoim zachowaniem się dawał on świadectwo prawdzie, że masy ludowe są jedynymi prawowitymi właścicielami tej ziemi i jej najpewniejszymi obrońcami.

Mogiły żołnierskie, które pokryły Polskę we wrześniu 1939 roku, wołały nie tylko o odwet na wrogu, o przyszły triumf polskiego oręża, ale także o sprawiedliwość dla tych, którzy okazali się najwierniejszymi, chociaż do chwili wybuchu wojny byli pariasami we własnej ojczyźnie.

Sprawiedliwość ta nadeszła. Rząd przeszedł z rąk „elity" w ręce ludu, ziemię obszarniczą otrzymał chłop, fabryki — robotnik. Wojna przyniosła zwycięstwo nad wrogiem zewnętrznym i wyrównanie rachunków wewnątrz społeczeństwa. Krew polskich chłopów i robotników omyła z hańby nasze sztandary we wrześniu 1939 roku i krew ta stała się posiewem Polski Demokratycznej.

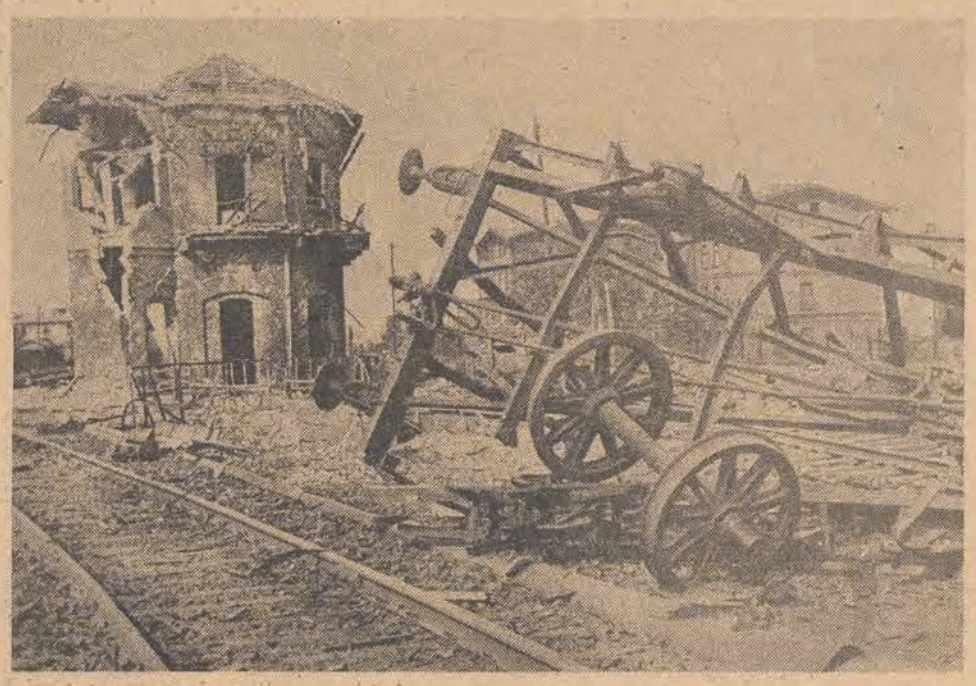

Dworzec kolejowy w Tczewie po bombardowaniu

Stanisław Skoneczny

Wrzesień

Obłokami zrosło się z ziemią
niebo, mgłami łopocząc o drzewa.
Szły pociągi całe w zieleni,
żaden z żołnierzy wtedy nie śpiewał.

A kiedy przyszła noc ostatnia,
reflektory wybiegły jak psy.
Księżyc dostał się nagle w matnię —
syrenami na trwogę wył.

Po drogach rozwlekłych cieniem
potrzaskanych topoli i zgliszcz
dni się kryły w ostatnim skomleniu
kuli. Polami bez broni żołnierze szli.

Poczerwieniał las, w którym zakwitł
wrzos różowy, jagody kaliny.
W mojej wiosce, w chacie ostatniej
płacze matka nad śmiercią syna.

Stanisław Cieślak

Warunki uprzemysłowienia II*)

Właściwy stosunek cen, to byłby parytet przedwojenny plus 20 proc. przewyżki dla rolnictwa. Dlaczego? Czy chcemy, ażeby Polska była krajem rolniczym? Nie, nie chcemy, ażeby Polska była krajem rolniczym, chcemy ażeby Polska była krajem przemysłowo - rolniczym, ale stwierdzamy, że w tej chwili Polska jest krajem rolniczo - przemysłowym. Przemysł, jaki istnieje, musi opierać się o rolnictwo w trzech płaszczyznach, jako o bazę żywnościową, jako o bazę surowców roślinnych i zwierzęcych i wreszcie jako o rynek zbytu.

Ten trzeci punkt jest decydujący. Przemysł nasz — możemy to sobie uczciwie i wyraźnie powiedzieć — nie jest przemysłem takim, któryby mógł skutecznie konkurować na rynkach światowych z artykułami przemysłowymi innych państw. Mówiąc o sprawach gospodarczych, trzeba nieraz myślą wybiec nieco dalej. Na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej i w czasie dyskusji w Komisji Budżetowej, gdy omawialiśmy budżet Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, głównym zarzutem, jaki wysunęliśmy w stosunku do tego budżetu i działalności resortu Ministerstwa był fakt, że Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych nie pracuje na długiej fali, nie interesuje się tym, co się dzieje na świecie i nie nastawia naszego rolnictwa tak, aby to rolnictwo grało w handlu międzynarodowym i życiu gospodarczym całego świata nie tylko w chwili obecnej, kiedy Europa jeszcze głoduje, ale i za trzy i za pięć lat, kiedy będziemy mieli nadwyżki żywnościowe we wszystkich prawie państwach.

Skutki nie dały na siebie długo czekać. Ministerstwo Rolnictwa nie potrafiło ustalić szacunku zbiorów i stąd zaplątaliśmy się w różne importy zagraniczne zbóż i w chwili obecnej sprowadzamy do Polski 580.000 ton ziarna, nie mamy wewnętrznego przekonania, czy sprowadzamy potrzebnie, czy słuszne jest sprowadzanie tak dużej ilości. Dlatego też dobrze jest spojrzeć trochę przed siebie. Co oznacza pożyczka amerykańskiego państwa dla Imperium Brytyjskiego? Nie oznacza nic więcej, jak tylko modernizację przemysłu angielskiego. Co oznacza nacjonalizacja kopalń w Anglii? Modernizację urządzeń kopalnianych. Gdybyśmy nie pamiętali o tym, nie ulepszali naszego przemysłu, to za lat pięć węgiel angielski na rynkach całego świata mógłby być tańszy od węgla polskiego. Przemysł węglowy angielski zostanie zmodernizowany, jego koszty własne zostaną obniżone, węgiel angielski będzie panował na rynkach europejskich o ile nie podejmiemy wysiłku unowocześnienia naszego przemysłu węglowego.

Co oznacza pożyczka amerykańska dla Francji? Oznacza modernizację przemysłu francuskiego, zwłaszcza rozwiniętego tak samo, jak w Anglii przemysłu włókienniczego, a również kopalni węgla. Wydaje mi się, że nie trudno jest zaręczyć, iż gdyby przemysł nasz pozostał takim, jakim jest w chwili obecnej, to nie będziemy mieli gdzie sprzedawać naszego węgla, bo będzie za drogi, o ile będziemy go chcieli sprzedawać po cenach opłacalnych, a nie po cenach deficytowych.

Chciałbym zwrócić uwagę obywateli na fakt, że przemysł nasz w znacznej większości jest przemysłem zniszczonym, przemysłem **nienowoczesnym**, przemysłem, który musi jeszcze pewien czas pracować drogo. Chciabym zwrócić obywateli uwagę na fakt, że przy stanie oświaty zawodowej takiej, jak była przed wojną, przy takim wyniszczeniu biologicznym narodu, jakie przeżyliśmy v czasie okupacji, robotnik nasz, mimo wielkich wysiłków i bohaterstwa, nie może jeszcze pracować tak wydajnie, jak robotnik innych krajów, które wojna oszczędziła. Stąd przemysł nasz jeszcze przez pewien czas będzie przemysłem drogim, a dla artykułów takiego przemysłu trudno znaleźć miejsce na rynkach międzynarodowych.

Jednakże każdy artykuł przemysłowy może znaleźć swoje miejsce na rynku wewnętrznym i nam się zawsze bardziej opłaci kupienie droższego artykułu własnego, niż tańszego artykułu przemysłowego zagranicą. Teza moja brzmi w ten sposób: **będą się zmniejszać możliwości eksportowe naszego przemysłu**, a ściśle mówiąc, będzie coraz trudniejszy eksport naszego przemysłu, o ile nie nastąpi na olbrzymią skalę **modernizacja urządzeń**. Dlatego, myśląc parę lat naprzód, **musimy budować rynek wewnętrzny i budować eksport rolniczy.** Jeżeli rozbudujemy rynek wewnętrzny do poziomu spożycia przedwojennego i będziemy go ciągnąć później do poziomu spożycia innych narodów, to na wiele lat mamy zapewniony zbyt artykułów przemysłowych na rynku krajowym i dlatego pozwolę sobie na tezę, która będzie może tezą śmiałą, ale co do słuszności której jestem wewnętrznie przekonany: za lat pięć o naszych możliwościach importowych, o powodzeniu naszego handlu zagranicznego, o możliwości modernizacji przemysłu, będzie decydował eksport artykułów rolnych, a nie eksport artykułów przemysłowych.

Jeżeli będziemy o tym pamiętać, to wtedy inaczej zupełnie spojrzymy na zagadnienie inwestycyj w rolnictwie. Zagadnienie inwestycyj w rolnictwie, to nie jest tylko przebudowa społeczna, organizacyjna i gospodarcza rolnictwa. Zagadnienie inwestycyj w rolnictwie w tej chwili, to znaczy za pięć lat możność importu maszyn i urządzeń przemysłowych dla modernizacji przemysłu, to jest jedyna realna możliwość importu surowców przemysłowych, których nie mamy, jak bawełny, metali kolorowych, gumy i nafty. Bez tych surowców nie ma przemysłu. Tych wszystkich surowców za pięć lat tylko za węgiel nie kupimy i nie kupimy ich tylko za artykuły przemysłowe, możemy kupić **również** za eksport artykułów rolnych.

Dlatego też, kto patrzy na zagadnienie stosunku cen, powinien o tym momencie pamiętać i układać plan cztero czy trzyletni i całą naszą linię rozwojową gospodarki pod tym kątem widzenia. Nawiązuję do tego, co mówiłem na Krajowym Kongresie Związku Samopomocy Chłopskiej w marcu 1946 r. My w zakresie całego szeregu artykułów rolnych jesteśmy bez konkurencji na rynkach światowych. Jeżeli chodzi o cukier, to jeszcze długie lata możemy sprzedać zagranicą każdą ilość. Jeżeli chodzi o spirytus, możemy sprzedać zagranicą każdą ilość. Jeżeli chodzi o przetwory owocowe i warzywa, o ile to będą rzeczywiście dobre przetwory owocowe, — możemy sprzedać prawie każdą ilość, zwłaszcza na rynkach skandynawskich. Możemy i będziemy mogli przez długie lata lokować na rynkach zagranicznych każdą ilość trzody chlewnej i ten eksport bardzo pomoże rozwojowi przemysłu, gdyż dla przemysłu trzeba zakupić więcej nowoczesnych maszyn zagranicą, trzeba kupić surowce, bez których przemysł pracować nie może.

Dalszy wniosek: nie możemy rezygnować i nie zrezygnujemy z eksportu przemysłowego. Będziemy się bić o miejsce na rynkach światowych dla naszych artykułów przemysłowych i dlatego musimy dążyć do obniżenia kosztów własnych przemysłu z jednym bardzo ważnym zastrzeżeniem: obniżka cen kosztów własnych przemysłu nie może być obniżką stopy życiowej klasy robotniczej. Żleby gospodarował ten, ktoby w tej chwili i w przyszłości próbował przerzucić cały ciężar odbudowy Państwa na klasę robotniczą. Część ciężaru musi spoczywać na warstwie chłopskiej robotniczej równomiernie, ale niech to będzie część ciężaru, natomiast większość ciężaru niech będzie przerzucona na warstwę **pośrednią.**

W cenie artykułów przemysłowych w dzisiejszej ich wysokości koszty płac wynoszą około 70 proc. Czy jest możliwość obniżenia tej sumy 70 proc. bez obniżania stopy życiowej klasy robotniczej? Jest ta możliwość wtedy, jeżeli zmienimy ten stosunek między dwoma tysiącami złotych, płaconymi za pszenicę i 8.750.— zł. — za pszenny chleb. Bardzo wdzięczne pole do działania jest w pozostałych 30 procentach kosztów własnych przemysłu. Wiemy doskonale, że administracja samego przemysłu jest administracją w tej chwili nieraz nieoszczędną. Z dużym oburzeniem na niektórych odcinkach przemysłu. jak naprzykład w papierze i cukrze, widzimy nieracjonalna administrację, na która nie pozwala dzisiejsza sytuacja. Musimy, jako postulat, wysunąć konieczność obniżenia kosztów własnych przemysłu bez naruszania żywotnych interesów klasy robotniczej. Przy wielkim wysiłku da nam to obniżke o 20 proc. w skali trzech lat. To nie jest obniżka mała, to jest obniżka, która ułatwi wprowadzenie bardziej sprawiedliwego stosunku cen artykułów rolnych i przemysłowych.

Jeszcze jeden argument. Mówimy dużo o Ziemiach Odzyskanych. Warto, ażeby i ten element zagrał w naszych rozważaniach. Osadnik, przeyjeżdżający na ziemie odzyskane, otrzymuje ziemię zachwaszczoną wprawdzie, ale ziemię, która była w wysokiej kulturze, ziemię zmeliorowaną, skomasowaną, zaopatrzoną w niezbędne podstawowe urządzenia drogowe, łącznościowe, energetyczne. Kto z obywateli był na zachodzie, to widział już wsie, zasiedlone przez chłopów z rzeszowskiego, kielecczyzny,, województwa warszawskiego; ten rozumie, że są to wsie inne. To są wsie zbliżone do typu wsi zachodnio - europejskich. To są wsie, w których można mieszkać, to są wsie na poziomie, godnym człowieka XX wieku. Osadnik przychodzi i pracuje tam w ciężkich warunkach. Pomyślmy jednak, co się stanie z naszym kapitałem na ziemiach odzyskanych, jeżeli opłacalność produkcji rolnej na tych ziemiach będzie utrzymana na granicy kosztów własnych. W rezultacie, gdyby rolnik na ziemiach odzyskanych nie miał możliwości inwestowania, — zarosną rowy melioracyjne, zawalą się słupy, dźwigające przewody elektryczne, rujnować się i rozpadać będą budynki gospodarcze i mieszkalne, walić się będą płoty, będą niszczały maszyny.

O tym należy pamiętać, że jeżeli nie zagwarantujemy właściwego stosunku cen, o którym mówiłem, zwłaszcza na ziemiach odzyskanych, zmarnujemy ten kapitał odzyskany, będziemy mieć tak samo chałupy słomą kryte, porozbijane przewody kanalizacyjne, zniszczone wszystkie urządzenia energetyczne, drogi, melioracje i komasacje rolne. Dlatego ten argument ziem odzyskanych musi mocno zagrać w naszych rozważaniach, kiedy mówimy o opłacalności rolnictwa i właściwej polityce cen.

I jeszcze jeden argument. Odpowiedni dochód z gospodarstwa chłopskiego, to rozwój oświaty na wsi, to wielka liczba młodzieży chłopskiej w miastach — w szkołach niższych, średnich i wyższych. To stały dopływ fachowych sił do przemysłu i odpływ od zajęć rolniczych. Chcemy bowiem, aby struktura zawodowa Polski uległa zmianie, aby więcej ludności pracowało w przemyśle, komunikacji i zawodach pokrewnych. Ale chcemy, aby chłopski syn nie przychodził do przemysłu jak żebrak z głodu za robotnika niewykwalifikowanego, ale żeby przychodził jako **fachowiec**, a takich ludzi najbardziej potrzebuje przemysł.

Wreszcie argument ostatni. Ustalenie najniższej ceny zboża wyżej granicy opłacalności rolnictwa odgrywa olbrzymią rolę w zdynamizowaniu woli odbudowy. Już dziś odzywają się głosy na wsi, czy warto przy takich cenach brać pod uprawę ugory na ziemiach odzyskanych, czy warto powiększać obszar uprawy zbóż. Męska decyzja Rządu, gwarantująca opłacalność rolnictwa, przetnie te niesłuszne wątpliwości w sposób najbardziej skuteczny. Trzeba bowiem zwiększać produkcję rolną w każdej gałęzi upraw i hodowli, w ustroju gospodarki planowej, w państwie demokratycznym urodzaj jest błogosławieństwem, a nie klęską narodu.

Co zrobić aby tak było? Mamy dwa rodzaje możliwości. Jeden — to ten, jaki ma każda organizacja zawodowa, która jest respektowana przez Państwo i ma możność reprezentowania interesów zrzeszonych u siebie rolników zarówno w Krajowej Radzie Narodowej, rządzie, jak i Komitecie Ekonomicznym. Wysuwamy te sprawy, przedstawiamy nasze stanowisko i spodziewamy się, że te nasze tezy znajdą rzeczowe i słuszne zrozumienie. Być może, że w rozważaniach naszych są pewne błędy, że trzeba będzie wprowadzić pewne poprawki, ale wytyczne wydają się całkowicie uzasadnione.

Ale jest i druga możliwość, z której dotychczas nie skorzystaliśmy. Czego chcemy? **Utrzymania cen zboża, obniżki cen artykułów przemysłowych.** Co możemy zrobić sami? Możemy rozpocząć skup zboża. Nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby z dniem jutrzejszym spółdzielnie nasze przystąpiły do intensywnego skupu zboża na własny rachunek. Mają kredyty, mają niewielkie środki obrotowe, niech więc wyczerpią te wszystkie możliwości, które mają, a które idą w setki milionów złotych. Niech się zapożyczą do ostatniej nitki, niech zastawią wszystko, co mają; wszystkie nasze spółdzielnie w obecnej chwili wszystkie środki obrotowe powinny rzucić na skup zboża. Bo inaczej to zrobi spekulant i on będzie i chłopu i państwu dyktował ceny płodów rolnych.

Gospodarka planowa w państwie ludowym nie jest gospodarką narzuconą przez rząd, gdzie od społeczeństwa żąda się tylko posłuchu. Gospodarka planowa w państwie ludowym wymaga inicjatywy gospodarczej i wysiłku samych zainteresowanych, wymaga wysiłku organizacyj zawodowych i ich dynamiki gospodarczej.

Związek Samopomocy Chłopskiej nie jest tylko klientem Państwa, jesteśmy organizacją społeczną, która wie, czego chce, czuje swoją siłę; jesteśmy organizacją, która współgospodarzy w państwie i organizacją, która ma ambicję czynnego naprawiania tego, co jest w państwie złe, gdyż zdaje sobie sprawę, iż nie wystarczy stwierdzić, że jest coś złe, ale trzeba zawinąć rękawy i usunąć to zło.

W interesie opłacalności rolnictwa, w interesie mas chłopskich, domagamy się również wielkiego wysiłku naszych spółdzielni przy rozprowadzaniu artykułów przemysłowych. Trzeba raz na zawsze usunąć spekulacyjne zyski, dążyć do doprowadzenia artykułów przemysłowych do rolnika przy możliwie najmniejszych kosztach handlowych.

Przechodzę do wniosków. Argumenty, które przytoczyłem, mogły być bardzo łatwo wykorzystane w ten sposób, aby powiedzieć, że życie gospodarcze w kraju układa się pod przewagą interesów gospodarczych klasy robotniczej, że życie polityczne kraju układa się pod przewagą politycznych wpływów partyj robotniczych, że stąd intresy rolnictwa, interesy chłopów i ich organizacyj — nie znajdują właściwego zrozumienia.

Z głębokim poczuciem odpowiedzialności w poczuciu wewnętrznej prawdy, muszę stwierdzić, że tak nie jest i taka interpretacja tych rozważań byłaby z gruntu fałszywa. Ktokolwiek bowiem poważnie obserwuje nasze życie polityczne, to nie powie, że Polska Partia Robotnicza, czy Polska Partia Socjalistyczna jest tylko partią klasy robotniczej. Ktoby tak powiedział, nie widziałby tej rzeczywistości, która jest taka, iż te partie już od dawna, jeszcze w okresie konspiracji, jeszcze w okresie walki, a nie tylko w chwili obecnej, stały się partiami całego narodu. Niejednokrotnie, kiedy stawał dylemat, czy wybrać interes klasy robotniczej, czy interes państwa, jako całości, to obie partie robotnicze złożyły dostateczne dowody na to, że wybierają interes państwa, a nie klasy, którą kiedyś wyłącznie reprezentowały.

Nieprawdą jest, że nasze życie gospodarcze układa się pod przewagą, pod supremacją interesów gospodarczych klasy robotniczej. Ściślejsze byłoby takie sformułowanie, że główne korzyści z reform społecznych wyciągnęła **przejściowo**, rzecz jasna, **warstwa pośrednia.** Kto zna środowisko przemysłowe, musi stwierdzić, że stopa życiowa ludności robotniczej, jej dochód społeczny nie jest dziś wyższy, niż przed wojną. Poza niewielką arystokracją w rodzaju drukarzy, życie większości klasy robotniczej układa się w warunkach trudnych, niejednokrotnie nawet bardzo jeszcze ciężkich. Ten sam bezstronny obserwator naszego życia stwierdzi, że w tej chwili dzięki spekulacji stopa życiowa warstwy pośredniej jest kilkakrotnie wyższa, niż przed wojną, czy to będą rzemieślnicy, czy drobny przemysł prywatny, czy kupiectwo, czy taki lub inny wolny zawód.

Przyjrzyjmy się cenom wolnorynkowym, czy spadek cen zbóż łączy się ze spadkiem cen żywności? Nie..

Spekulacja w miastach

1946 mies.	Ceny miejscowe, płacone producentom rolnym w woj. warszawskim w r. 1946				Ceny wolnorynkowe żywności w Warszawie w r. 1946		
	pszenica za 100 kg zł	żyto za 100 kg zł	masło za 1 kg zł	wieprz. żywej wagi za 1 kg zł	chleb za 1 kg zł	masło za 1 kg zł	wieprz. za 1 kg zł
Styczeń . .	2.294	1.254	235	138	34	304	209
Luty	2.435	1.269	277	153	33	342	218
Marzec . .	3.788	1.963	328	184	36	376	234
Kwiecień . .	3.973	1.940	361	167	40	484	242
Maj	3.394	1.965	307	160	33	340	244
Czerwiec . .	3.104	1.772	288	144	34	332	236

(ciąg dalszy na str. 3-ej)

*) Patrz początek Wieś Nr. 33 (61).

Przemówienie wygłoszone na plenum Zarządu Głównego Z. S. CHł.

Jan Bolesław Ożóg

Z września

1.

Może tę rampę kolejową
piszczałką pastuch ci otwierał,
o może oczy twe kochane
od zorzy zabłysły dopiero,
a może z nad sierpa nad łanem
marzyłeś o wojnie — weselu?..
Z zachodu gość — przybysz, bombowiec
zabłysnął, zakołował, zginął.
I beknął moździerz za doliną.
Nad wieżę niby płomyk maku
wzbijał się, bladł i drżał propeller.
Chylił się klucz przelotnych ptaków.

2.

Ziemio, zejdź na bunkry i zasieki!
W mieście alarm, alarm, alarm.
Szkoła na skraju, szpital, bank.
Bank Rolny wybija dziś czeki
... sam... maszynowym karabinem.
Z przeciwka — maszyny, maszyny,
u kół — maliny, krew — maliny.
Szturm potknął się o przewrócony tank
I w huku nieba razem z nim
piętra stoczyły się na bruk.
Puchną kamienie nagle w guzy,
pola i park i matki stary próg.
Wulkan piorunów — piąty nalot.
Schron tylko dyszy poprzez dym.
Sienie wyplujcie swoje gruzy...

3

Pola, polany i polanki,
lasy, okopy i znów pola
tną, miażdżą hitlerowskie tanki.
A szańcem tylko kopka perzu
i bruzda i kamień i rola.
A w gwoździach ognia krwawe płótna:
chorągiew — jak kulą się wwierci
skazańca komenda: żołnierze,
kierunek: czołgi! Na bagnety!
Amen! Tu ząb za ząb, — to Kutno.
Tu szaniec jest oślepłej śmierci, —
kto żyw, do piekieł wstąpił: w okop.
Bielawy najeżyły grzbiety.
Noc—szturm. Szturm—noc. Giganty w skoku...

Tadeusz Różewicz

Dla żołnierza—tułacza

Tobie, którego kule trafiły niemieckie
którego w strzępy drą granaty
poparzonemu ognistym językiem miotacza
co się zataczasz płomień oszalały
konasz w wysokich trawach lata,
którego znają pustynie i skały
i wszystkie lądy
i wszystkie morza
świata,
drącemu ziemię pazurami
z bielmem w oczach
coś się tak zwalił w blaskach słońca
któryś nie odgadł tego końca
przez żaden dzień i wszystkie noce.
Ten wiersz — jak bandaż, jak manierka
wody zagrzanej w długim biegu
jak pieszczot pełna matki ręka
jak twoja wieś leżąca w śniegu
jak strzechy wiosną w wróblich ćwierkach
aby skróciła się twa męka

1943 r.

(dokończenie ze str. 2-ej)

Do tego, niestety, dołącza się też pewna grupa arystokracji urzędniczej. W naszych centralach, w naszych instytucjach i zjednoczeniach widać, że zbyt szczodrze wynagradza się pracowników centralnych, nie zawsze fachowców.. Te wysokie pensje w tej chwili są już czymś rażącym, chociaż jeszcze na wiosnę tego roku rażącymi nie były. Trzeba zatym skrócić spekulację przywileje i doprowadzić i do robotników do chłopów owoce reform społecznych i w tym wielką rolę winny odegrać spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, skupując zboże rozprowadzając materiały przemysłowe w sposób sprawiedliwy.

Przechodzę do wniosków politycznych. Nie ma żadnych obaw co do tego, ażeby życie gospodarcze naszego kraju miało potoczyć się wbrew interesom rolnictwa. Nie grozi nam w tym roku kryzys rolny. Odczuwamy potrzebę zwrócenia uwagi na te rzeczy i staje przed nami konieczność opracowania konkretnych propozycyj, które powinny być wzięte pod rozwagę. Jestem przekonany, że istotne i słuszne elementy tych rozważań zostaną uwzględnione w planie państwowym. Nie jesteśmy na tyle naiwni, abyśmy gruntowali dobrobyt warstwy chłopskiej na czynnikach reakcyjnych, walczących z rządem ludowym; my nie budujemy rolnictwa w Polsce w innej strukturze społeczno - politycznej, niż ta, jaka jest. Bo ta, która jest, — jest i **naszym dziełem.** Mamy zaufanie do ludzi, którzy kierują naszym Państwem i współgospodarzenie z państwem rozumiemy **nie jako współbiadolenie,** ale **współpracę, współdoradztwo i branie współodpowiedzialności za to, co się w Polsce dzieje.**

Stanisław Cieślak

Z niemieckiego oryginału Erika Munske
przełożyła Janina Sobieszek

Pod Kutnem

Poniżej drukujemy w przekładzie Janiny Sobieszkówny fragmenty książki niemieckiego lotnika traktujące o początkach działań niemieckiej armii w kampanii polskiej. Drukujemy je z tego względu, że wyziera z nich jak na dłoni cała mentalność przeciętnego żołnierza niemieckiego, dla nas zupełnie niezrozumiała. Widzi on w barbarzyńskiej akcji bombardowania zabieg humanitarny — oszczędzenie liczby zniszczonych istnień ludzkich. Poza tym rzuca się w oczy owa buta pruska i zarozumiałość chwilowo zwycięskiego żołdaka nie zdającego sobie sprawy, że na wojnie „fortuna kołem się toczy". Po pięciu latach przetoczyła się istotnie. Widzieliśmy zgniecionych, poniżonych, kłaniających się i żebrzących po nocach o kawałek chleba: — niemców. Gdzie indziej zaś czytelnicy będą mieli podane świadectwo, jak się niemcy zachowywali pod bombami.

Redakcja

I.

LUDZIE I CZYNY

Przeniesiono nas z Prus Wschodnich w głąb Polski, w iście lotniczym tempie. O czwartej przyszedł rozkaz, o piątej byliśmy już na nowym miejscu. Z lotników przeznaczonych do walki z równymi sobie lotnikami staliśmy się właściwie artylerią lądową uskrzydloną: jedynym naszym zajęciem stało się strzelanie do niedobitków polskiej armii.

Szedłem pewnego dnia z komendantem placu przez wieś sąsiadującą z naszym obozem. Małe, słomą kryte chałupiny przykucnęły po obu stronach drogi, wykrzywione i żałosne, jakby znębione poczuciem własnej nicości. Brak im było okien i drzwi, po pustych izbach gwizdał wiatr jesienny, czasem tu i owdzie trzasnęła okiennica. Ludzi jakby wcale nie było, z rzadka tylko starzec jakiś wyjrzał, a spostrzegłszy nas, kłaniał się aż do ziemi. Giętkie plecy mają Polacy... Za wsią wznosił się komin fabryczny, czerwony i groźny, wyższy niż wieża pobliskiego kościoła.. Była tu przedtem dobrze prosperująca cukrownia, dziś oczywiście zniszczona. Między cukrownią a kościołem stał krzyż drewniany, jakich pełno w Polsce. Spojrzałem i przeraziłem się niemal: pod krzyżem leżała jakaś ciemna postać. Zbliżyłem się i rozpoznałem w niej kobietę, która objęła ramionami drzewo, całym jej ciałem wstrząsał szloch, a palce bosych stóp wwiercały się w ziemię jakby pod uciskiem nieznośnego bólu.

— Co jej jest? — mruknąłem.

Komendant ruszył ramionami. Minionej nocy była tu bitwa, może straciła przy tym kogoś ze swoich. Odeszliśmy — a gdy się obejrzałem po pewnym czasie, kobieta leżała wciąż jeszcze; ciemna plama u stóp krzyża. I nagle wydała mi się symbolem tego narodu, dziś zdruzgotanego, z którego pleców wycinały zawsze pergamin ręce możnowładców, by na nim pisać historię swej własnej lekkomyślności i swego własnego zuchwalstwa.

Za kościołem — parkan z desek malowanych pięknie, a za parkanem ogród przepyszny, w ogrodzie zaś wśród palm i wodotrysków willa dyrektora fabryki. Obok willi domy inspektorów i urzędników, już nie tak wspaniałe, ale przecież więcej niż zamożne. Wszystkie w tej chwili ziały pustką. Mieszkańcy ich wyjechali niedługo przed wojną — zagranicę...

Tu właśnie rozkwaterował się nasz obóz.

W jednym rogu parku umieszczono kuchnię polową. Kucharz robił właśnie „przegląd palcowy" w grupie polskich bab, by wyłowić te, które miały palce dość czyste i dość białe do obierania kartofli. Ujrzawszy nas trzasnął obcasami i wykrzywił gębę w uśmiechu.

Moja kwatera znajduje się w mieszkaniu inspektora cukrowni. Gdy do niej wszedłem raz pierwszy, byłem zaskoczony luksusem wnętrza, a przerażony barbarzyństwem polskich rabusiów, którzy tu szaleli. Oprócz biurka, tylko jeden obraz był nietknięty i cały. Wisiał w bibliotece, gdzie zainstalowałem swą kancelarię, a przedstawiał młodą dziewczynę, bardzo uroczą i delikatną, taką właśnie, o jakiej się marzy, gdy się ma lat dwadzieścia. Częstokroć zastaję przed nim młodych oficerów, zatopionych w kontemplacji. Oprócz tego obrazu, wszystkie przedmioty i meble uszkodzone, jeśli nie rozkradzione. Nawet tapetom nie darowano.

Do roboty nic prawie nie ma, tymbardziej, że rozpoczęły się jesienne deszcze i mgły. Ostatni akt polskiej tragedii bez nas się pewno dokona. Siedzimy i gawędzimy o przygodach minionych lub gramy w karty. Tych paru starych chłopów, co się we wsi zostało, szuka u nas schronienia. Wieś zawsze żyła z cukrowni, a cukrownią teraz jesteśmy my. Od tłumacza dowiadujemy się tego i owego z ich przeszłości. Ciężka to przeszłość. Ciężka to przeszłość, przeszłość niewolników. Beznadziejne ich życie, szare jak te dni jesienne bez iskierki słońca. Bodaj, że wojna w niczym nie pogorszyła ich położenia, ba, nawet, poprawiła. Są nędzarzami, ale żyją oto bez troski, narazie żyją, lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Jest tu mała dziewczynka, Stasia, która przychodzi codzień do Ihriga, od samego rana. Jeśli on śpi jeszcze, czeka pod oknem do pobudki. Jeśli ma służbę, dulczy z nim razem pod skrzydłami maszyn. Dzieli z nim jego śniadanie i obiad, uczy go swej mowy, a wzamian od niego uczy się niemieckiej. Żołnierze wołają za nią „zwanzig, zwanzig!" Bo tylko do dwudziestu Stasia umie liczyć. Jest ona chuda i cienkonoga, ma uszy wielkie i cienkie jak nietoperz. Rodziców straciła w czasie ucieczki i do domu wróciła sama.

Codziennie wysyłamy samolot wywiadowczy, niby gołębia z Arki Noego. Nie przynosi jednak nic w dziobie prócz wody.

Nareszcie któregoś dnia pękła opona chmur. Nadszedł rozkaz, pierwszy od wielu dni: „atakować oddziały polskie nad Wisłą, w okolicy Gąbina". Startujemy o 4 pp. Dziwna jest pogoda — słońce poprzez chmury przyświeca, krajobraz tworzy szachownicę jasnych i posępnych, ruchliwych plam. Drogę na front wskazują dymy i pożary. Lecimy na 1000 mtr. wzwyż — za linią niemiecką zniżamy się gwałtownie. Sytuacja jasna: kawaleria nasza w dole, a górą, na wzgórzu bronią się zawzięcie Polacy. Spieszona jazda. Ich szare mundury nikną na szarym tle ziemi polskiej, lecz my je odkrywamy. Leżą w dołkach wygrzebanych w ziemi. Na te dołki sypiemy gradem nasze 50 kg. bomby. Fontanny ognia i ziemi tryskają w górę, a gdy dymy rzedną, i widok odsłania się, polskiej kawalerii nie ma już w dołkach, nie ma nigdzie.

W lasku pobliskim przycupnęła artyleria. Wśród białych pni brzóz — czarne gardła armatnie. Obok stoją zaprzęgi: grzbiety końskie lśnią wśród liści niczym dojrzałe kasztany. Piękne konie mają Polacy, piękne konie' — dla bomb. Po chwili leżą już wszystkie brzuchami do góry. Lufy armatnie potrzaskane — ale co tam rury — najgorsza rzecz dla mnie — to konie zabijać, a pewno nie tylko dla mnie... Wielu naszych lotników czuje to samo.

Krążymy. Za lasem wiatrak na wzgórzu, za wiatrakiem w dolinie wieś. Między wsią i wzgórzem gęsta, ruchliwa fala ludzka, wozy, żołnierze, konie, amunicja. Lecą bomby znów, jak grad. Niemożliwością jest zupełnie opisać co się teraz działo.

K. M. biją z dołu nareszcie. Odpowiadamy w ten sam sposób, gdyż bomb już zabrakło. Strzelamy aż do ostatniego naboju — i powracamy w domowe swe pielesze, podczas gdy kawaleria nasza maszeruje naprzód spokojnie i bez przeszkód z fajkami w zębach, z bronią pod pachą, jak na zwykłym polowaniu. A za nią tłumy, potoki całe jeńców polskich, z gołymi głowami, z podniesionymi w górę rękami, zciżbieni jak stada owiec. „Ile to trupa oszczędziliśmy" — mruczy mój towarzysz.

Wieczorem znów deszcz — jakby się świat chciał rozpłynąć. Znów bezczynność w perspektywie. Z jakąś radością przyjmujemy rozkaz: „Z powrotem do Ojczyzny!"

Gdy odjeżdżamy, wieśniacy z Krasnej stoją w opłotkach, Stasia wśród nich zalana łzami. „Zwanzig" — woła — „zwanzig" i kiwa nam ręką póki nie giniemy jej z oczu.

Na naszym lotnisku w Heiligenbeil wszystko w dawnym porządku. Dwukrotnie lataliśmy jeszcze stąd na Warszawę i Pragę. A potem nastąpiły normalne, pokojowe czasy. Wojna przeszła w dziedzinę wspomnień.

Na jeden dzień tylko ożyło wszystko — na ten mianowicie, gdy Göring przybył do nas prosto z frontu, niemal bez uprzedzenia.

Pośrodku czworoboku, sformowanego przez mur lotników stanęła masywna, wielka postać marszałka. Wiatr szarpał jego płaszcz, deszcz siekł po twarzy, gdy mówił grzmiącym głosem:

„Lotnicy moi! Dziękuję wam w imieniu Hitlera, dziękuję w swoim własnym i całych Niemiec imieniu. Wiele od was żądałem i oczekiwałem wiele, lecz wasza sprawność i zdolność przeszła wszelkie moje oczekiwania!!!

Uczuliśmy dreszcz. Wszak to mówił lotnik z krwi i kości, znawca co do grama ważący wartość ludzi i spraw. Fala dumy i szczęścia zalała nas. „Prześcignęliśmy oczekiwania!!!"

A więc warto było walczyć!... Mija to, co w wojnie jest złe i najsmutniejsze — zostaje sława. Jesteśmy żołnierzami, lotnikami marszałka, a on jest naszym żołnierzem najlepszym.

II.

„KUTNOWSKI DZIEŃ"

Żaden z nas nie wspomina go chętnie. A przecież każdemu wyrył się na zawsze w pamięci niezatartymi głoskami.

Kutnowski dzień.

Wczesnym rankiem przyszedł rozkaz startu. „Startować oddziałami. Cel: bitwy ziemne z niskiego lotu, trasa Wyszogród — Głąbin, aż do Wisły".

Każdy oddział miał odbyć 10 minutowy lot nad terenem, w którym roiło się od niedobitków armii polskiej. Strzelać nakazano do wszystkiego co żyje i rusza się w dole. Dziesięć minut — to dość, by zniszczyć cały zapas jednorazowy amunicji dla K. M-ów naszych.

Nasz oddział startuje o 10.35; ponieważ nie ma obawy żadnej lecimy na wysokości 1.500 mtr., a pod Wyszogrodem zniżamy zupełnie lot. Teren fałdzisty, zielone wzgórza, diuny morskie wśród lasów wyzłoconych tchem zieleni. W lesie odkrywamy oddział wojska — zbieranina ludzi, wozów, koni i broni naznaczona piętnem śmiertelnej paniki. Przelatujemy stosując pełen ogień, tuż nad czubkami drzew. Z nawrotu oceniam skutki — wiadome z góry. Co nie leżało — to pędziło naoślep przed siebie potraciwszy głowy. Braliśmy bez przeszkód cel za celem.

Chmura pyłu na lewo — lecimy tam. To szwadron kawalerii w pełnym galopie zmyka w stronę lasu. Nikt nie zemknął. Zostało na polu kłębowisko ludzi, koni, kupy szczątków, kupy ludzkiego mięsa.

I znów kolumna jazdy na szosie. Nalatujemy. Rozbiegają się pod drzewa, w rowy, w krzaki, gdzie się da, — lecz przed deszczem naszych kul nie schronią żadne drzewa ni rowy..

Dziesięć minut przeszło — wracamy tą samą trasą. Lecą ku nam rakiety i kule świetliste — to jazda nasza prze niepowstrzymanie naprzód. Wyszogród już nasz, a z dali nadlatuje nowy sznur samolotów, nowy 10 minutowy wypad.

Lądowaliśmy w milczeniu. Patrzyliśmy jak startują i wracają coraz nowe partie, jedna po drugiej. Zjawił się wreszcie komendant. Nim zdążył wydrapać się z kabiny kapitanowie składali już raporty swoje.

— Dobrze — odpowiedział, schodząc zwolna. — Dobrze jest moi panowie. Choć było nie łatwo...

Dzień kutnowski, ostatni dzień wojny z Polską zakończył się wreszcie. Żaden z nas nie wspomina go chętnie, a przecież nie zapomni go żaden z nas. Wyrył się w pamięci naszej na zawsze.

Cyfry mówią:

Grupa bojowa.

W ciągu 18 dni — 107 wypraw.
2 wyprawy na lotniska
2 wyprawy na mosty
5 wypraw na umocnienia fort.
27 wypraw na 2 dworce i koleje
15 inne cele
8 napadów na wojsko w marszu
403.350 zrzuconych bomb
124.275 zużytych naboi K. M.
36 lokomotyw zniszczonych
6 całych pociągów
30 samolotów polskich zestrz.
2 zniszczono na ziemi
18 walk powietrznych stoczonych
30 obstrz. przeciwlot. niezliczone ataki myśliwc. pols. odparto.
Połowa nalotów dokonana z nisk. lotu.

Grupa sam. „Stuka"

W ciągu 27 dni — 49 wypraw.
58 obiektów.
Zniszczono:
16 mostów
5 dworców
12 linii kol.
44 pociągi (1 pancerny, 2 węgl.)
5 lotnisk
53 samol. na ziemi
38 gniazd oporu (2 koszary)
2 radiostacje
Udział w bitwach ziemnych:
3-krot. w bit. Kutno — Sochaczew,
3-krot. k. Modlina
8-krot. k. Warszawy.
Udział w nalotach na bat. przeciwn. — 9 razy.
Udział w bitwach lotnicz. — 16 razy.

Marian Piechal

Józef Czechowicz — poeta pokolenia

Pod koniec dwudziestolecia międzywojennego w liryce polskiej dominujące znaczenie zdobyła poezja Józefa Czechowicza. Pośród młodego pokolenia nazwisko Czechowicza stawało się najpopularniejsze, poezja jego zdobywała pogłos najszerszy, rosło koło jego zwolenników i komentatorów, roztropny sąd krytyki wyjaśniał elementy jego artyzmu i utrwalał społeczny rezonans twórczości Czechowicza.

Czym wyjaśnić tę syntetyzującą niejako rolę jego poezji w pokoleniu niepodległościowym, które było świadkiem dwóch niejako reform w liryce polskiej: pierwszej skamandryckiej z Julianem Tuwimem i drugiej awangardowej z Tadeuszem Peiperem na czele? Odpowiedź będzie prosta, jeśli uświadomimy sobie ,na czym polega ta pierwsza reforma liryki polskiej, dokonana przez praktykę poetycką Juliana Tuwima, a potem druga reforma dokonana przez działalność głównie teoretyczną Tadeusza Peipera.

Poezja Skamandra była to poezja dnia dziennego, pochwała prostoty i zwyczajności w przeciwieństwie do poezji młodopolskiej, będącej pogłosem wielkiej poezji romantycznej, której głównym tematem był Bóg, ojczyzna, człowiek wieczny, absolut. Odświeżające znaczenie poezji Tuwima polegało nie tylko na jej uzwykleniu tematycznym, ale i na uzwyczajnieniu słownym. Zaczęto pisać tak jak się mówi, zaczęto w poezji wypowiadać się tymi samymi słowami, którymi posługiwano się w życiu codziennym. Głoszono apoteozę codziennej prostoty, podnoszono patos potocznej zwyczajności.

Po 1928 roku, na widowni pojawiają się nowe ideologie i ugrupowania poetyckie, z których najwybitniejsze, to krakowska awangarda, wywodząca się z ekstremizmu formistycznego Tadeusza Peipera, i warszawska „Kwadryga", wywodząca się z radykalizmu społecznego Stanisława Brzozowskiego, Stefana Żeromskiego i pisarzy, zgrupowanych wokół rewolucyjnego „Miesięcznika Literackiego". Właśnie ów warszawski „Miesięcznik Literacki" z akcentem na treść socjalną i krakowska „Zwrotnica", organ teoretyczno - poetycki Tadeusza Paipera z akcentem na zagadnienia nowej formy, które to oba czasopisma wychodziły pod koniec pierwszego dwudziestolecia niepodległości międzywojennej, były ośrodkami dwóch przeciwstawnych kierunków, bijących jednak zgodnie w triumfujący jak dotąd zespół poetycki „Skamandra". Radykaliści społeczni bili w treść, ekstremiści formistyczni bili w formę poezji „Skamandra", który w ten sposób znalazł się w krzyżowym ogniu z dwóch stron naraz. Pozycja „Skamandra" nie była jednak tak krytyczna, jakby się na pierwszy rzut oka z przedstawionej tutaj sytuacji wydawało, a to z powodu poważnych mankamentów obu stron atakujących. Pisarze społecznikujący lekceważyli formę, zaś formiści lekceważyli treść, stąd żadna ze stron nie mogła sobie rościć pretensji do zastąpienia poezji typu tuwimowskiego, posiadającej pewne swoiste walory zarówno pod jednym jak i drugim względem. Cała ta kilkuletnia walka o nowy wyraz i treść poezji polskiej podważyła silnie reprezentatywną dotychczas rolę poezji „Skamandra", zarazem jednak nie zdobyła odpowiedniego autorytetu i znacznenia jej przeciwnikom.

W tym czasie właśnie datują się pierwsze występy poetyckie Józefa Czechowicza, który w swych wierszach harmonizował szczęśliwie dotychczasową treść z nową formą artystyczną, zwyczajność codzienności z odświętnym patosem wielkich nastrojów chwil osobliwych i jedynych. W poezji tej po raz pierwszy z właściwą sobie siłą, wyraził się zdecydowanie symptomatyczny nie pokój, niezadowolenie z tego, co jest, w zakresie szerszym, niż tylko społecznym, przeczucie przyszłego kataklizmu. Od akcentów modnego wtedy katastrofizmu broniła postawę Czechowicza mocna wiara w moralny porządek świata, stosunek religijny wobec życia, oczywiście nie w sensie jedynie katolickim czy nawet chrześcijańskim, ale szerszym, uznającym w życiu przewagę ducha nad materią i czynne ingerowanie duchowego pierwiastka ładu w chaotyczną i skłóconą dziedzinę materii.

Poezja Czechowicza nie odrazu znalazła u czytelników oddźwięk właściwy. Przeszkody stawiał sam poeta swymi, jak to określali niektórzy, dziwactwami formy, które polegały na nieuznawaniu przez Czechowicza absolutnie żadnych znaków pisarskich, następnie dużych liter, a wreszcie zwykłych norm układu stroficznego. Poeta uzasadniał to racją, że czytelnik zmuszony jest w ten sposób do większego, nawet wyłącznego, zwracania uwagi na słowa, na ich niezwykły układ i niespodziane zestawienie czyli na ich nową i odkrywczą treść. Poeta zmuszał niejako tym sposobem swego czytelnika do samodzielnego odczytywania i odczuwania wierszy, zmuszał go do dzielenia z nim trudu układania niby wolno rzuconych na papier słów bez wiązadeł i rusztowania znaków pisarskich w związki odpowiednich znaczeń, w układy harmonijnych i odkrywczych treści czysto artystycznych. Zasadzie tej pozostał poeta wierny w ciągu całej praktyki poetyckiej, niezłomność jej akcentując mocno pisaniem małymi literami tytułów swoich książek, a nawet własnego imienia i nazwiska.

Pierwsze wystąpienia poetyckie Józefa Czechowicza miały miejsce w Lublinie, jego mieście rodzinnym, tylekroć potem w jego twórczości wzmiankowanym z czułym sentymentem utraconego raju szczęśliwego dzieciństwa. Urodził się bowiem Józef Czechowicz 12 marca 1903 roku w Lublinie. Ukończył szkołę powszechną w tymże mieście, a w cztery lata później Seminarium Nauczycielskie.

Pierwszy zbiorek wierszy Czechowicza pod tytułem „Kamień", ukazał się w roku 1927, drugi zbiorek „Dzień jak codzień" w roku 1930, trzeci „Ballada z tamtej strony" w roku 1932, czwarty „Z błyskawicy" w roku 1934, w roku 1936 wyszedł tom wierszy pod tytułem „Nic więcej". Prócz tego wydał Czechowicz zbiór jednoaktowych próbek dramatycznych pod tytułem: „Czasu jutrzennego", wreszcie przygotowywał do druku nowy, szósty z kolei tom wierszy, który miał zwać się „Nutą człowiecza", a którego kilkadziesiąt egzemplarzy tuż na parę dni przed wybuchem wojny ukazało się z druku. Poza tymi sześcioma zbiorami wierszy i tomem jednoaktówek Czechowicza ukazał się jeszcze w Lublinie w roku 1925 jego szkic literacki na temat „Lilii" Adama Mickiewicza i kilka wierszy o rodzinnym mieście wydanych w Lublinie w roku 1935 razem z Franciszką Arnsztajnową w zbiorku zatytułowanym „Stare kamienie".

Oto cały dorobek tragicznie zmarłego poety, rozszarpanego podczas nalotu na Lublin w dniu 9-ym września 1939 roku przez bombę niemiecką. Wobec rozproszenia jego wierszy zjawia się pilna potrzeba zbiorowego ich wydania zwłaszcza, że niema wśród nich ani jednego, który byłby zdecydowanie słaby — tak wysoki jest ich poziom formalny i tak intensywne nasycenie treścią wzruszenia lirycznego. Poezja ta jest najczyściej i najzaszczytniej humanistyczna — owa nuta człowiecza, będąca jakże wymownym tytułem ostatniego jego tomu, przenika dogłębnie każdy jego utwór i jest jego zasadniczym wygłosem, jego istotą.

Nic bardziej fałszywego, niż określenie Czechowicza jako poety wsi, a poezji jego jako poezji sielskiej. To poezja najbardziej ludzka z tej, jaka powstała w minionym dwudziestoleciu międzywojennym. Wprawdzie wieś dochodzi w niej do wyraźnego głosu zarówno tematycznie, jak i w samym gatunku wyobraźni poetyckiej, ale tylko w tej proporcji, jaka wynika z naszej tradycji literackiej i jaką zajmuje wieś we współczesnym naszym życiu zbiorowym. Szeroka skala tej poezji, od najbardziej osobistych wzruszeń, poświęconych matce, rodzeństwu, przyjaźni, miłości, poprzez wspomnienia dzieciństwa, prowincji, aż do gnomicznych syntez dziejowych i elegijnej zadumy nad przemijalnością świata i wszykich rzeczy, które do niego należą, nad sensem życia, nad wszechpotęgą śmierci, nad koniecznością przemian, nad bezkresem i nieskończonością trwania. Nie ma takiej struny ludzkiego wzruszenia, którejby poezja Czechowicza w człowieku nie poruszyła. W działaniu swym, w swej sugestywności podobna jest do muzyki. W jego poezji bowiem

stopionym lały się bronzem żywioły
w gromie
on poznał i wrzawą wgórę
wzbijał się niby płomień
otchłań krzykiem napełniał wojennym
w miliona głosów zawierusze
z wszechrzeczy chórem
i złudzeń
jesteśmy zjawiska czasu ludzie
śmierci geniuszem jedynym
śmierci geniuszem.

Temu geniuszowi śmierci, którą tylekroć w tak potężny sposób przeczuwał w stosunku do siebie, nie poddała się tylko i nie podda jego poezja, która od najczulszych nutek ptasich, od poddźwięków sercowych, aż do organowych hymnów i dytyrambów brzmi pełnią wzruszeń, i której nic, co ludzkie nie jest obce. Ta poezja najistotniej z ducha muzyki powstała, z jej wszechogarniającej i upowszechniającej potęgi, tak prawdziwie odbrzmiewa wydarzeniom dziejowym od strony wewnętrznych odczuwań i przemian człowieka, że nie waham się nazwać jej najbardziej autentycznym głosem naszej epoki, głosem, syntetyzującym poszczególne tonacje naszej bujnej liryki w jeden czysty i klarowny ton, a Józefa Czechowicza nie waham się nazwać największym lirykiem polskim w minionym okresie dwudziestoletniej naszej niepodległości.

Stanisław Piętak

Wspomnienie

Tęgi, z lekka otyły z czarną, wspaniałą czupryną, w której już srebrzyła się siwizna, z małym nosem i dziecinnie wykrojonymi ustami, lubiący się śmiać, lubiący żartować — oto Czechowicz, jakim go znali współcześni w latach 1936 — 1939. Otoczony hałaśliwą gromadą młodych poetów, ostatnią cyganerią Warszawy, uczestniczył w śmiechach, burdach jakby dla zadokumentowania, że nie zależy mu na niczym stałym, urządzonym, użytecznym.

— Niech żyje poezja! — wołał i niekiedy przytupywał, wstrząsając połyskliwą swą czupryną i machając nie odłączną fajką.

Źle ubrany, nieogolony, w swoim czarnym swetrze pokrywającym niedostatki bielizny (był w tych latach w nędzy) zjawiał się w Ziemiańskiej czy w Zodiaku i wywoławszy szalony nastrój wśród zebranych na prędce skleconym opowiadaniem, znikał jak wiatr, by pójść gdzieś znów na Powiśle, na bulwar i ochłonąć na świeżym powietrzu, uspokoić się, w rozmowie z Domińskim, Rzeczycą, Janczarskim czy Pleśniarowiczem. Ja byłem dla nich wówczas już zaprzańcem, który zdradził ich dla kawiarni, pięknych kobiet, towarzystwa, wyższych sfer czy jak tam to wszystko nazwać.

W gruncie rzeczy moje rozejście się z nim i jego grupą miało przyczyny głębsze. Po pierwsze męczyłem się w dekadenckiej atmosferze bohemy — poznawszy to beznadziejne życie niemal do dna, zapragnąłem innego świata.

Był mi bardzo bliskim człowiekiem. Znałem go jak może mało kto. Przyjdzie czas i może wskrzeszę w zapiskach ten kawał życia na Dobrej w Warszawie, którego współuczestnikami byli prócz Józefa i mnie — Łobodowski, nieboszczyk Michalski, rozstrzelany Domiński, Iwaniuk, a nawet Miłosz, Zagórski, Mrozowski, Holender i Miciński.

Miał śmiesznostki i wady — któż ich nie ma. Podobnie, jak kiedyś Reymont, lubił bajać nie wydarzone rzeczy o swoim pochodzeniu i swojej rodzinie. Był dzieckiem proletariatu lubelskiego, a lubił pisać o sobie, że wywodzi się ze starego mieszczańskiego rodu. O matce jedynie nie przeinaczał. Pisał o niej przepiękne wiersze, pisał przepiękne wiersze o wsi, bo właśnie matka była chłopką gdzieś z puławskiego. Przypominam sobie taki wieczór cichy w jego mieszkaniu na Smulikowskiego. Byliśmy tylko obaj. Prosił mnie, bym mu opowiedział coś z życia o sobie. Ja opowiadałem jakieś makabryczne historie, bo wtedy lubowałem się w takich zdarzeniach, on zaś o swoich dziecięcych latach spędzonych w izbie dziadków. Było to coś tak uderzającego i poetycznego, że do dziś pamiętam wrażenie. Mówił o obłokach i kwiatku żółtym na tym tle i olbrzymich zielonych drzewach chwiejących się na horyzoncie.

Jakiż on był w ogóle poetyczny i pełen stylu!

Znałem go i w chwilach jego największej samotności, w chwilach nieszczęść i przegrany życiowej.

Wypieki, sepleniący, chrypiący głos, dumne, gorejące, piwne oczy. Takim go widziałem raz w momencie największego naszego rozbawienia na przyjęciu u pewnej damy parającej się niefortunnie literaturą.

— Nie mogę się bawić — szepnął mi i odwoławszy mnie na bok (na sali tymczasem szaleli Andrzejewski, Miłosz i Domiński) — przeczytałem Bernanosa: Pod słońcem szatana. Drzemie we mnie, Stasiu, ukryty religiant.

Kiedy wygryziono go ze Związku Nauczycielstwa Polskiego z posady, otrzymałem od niego list z Wielowsi. List był rozpaczliwy, żałosny, pełen skargi. Już nazajutrz pisał, bym zniszczył list. W tym zdaniu był właśnie cały Józef.

Ja się na nim nie zawiodłem w przyjaźni i on się na mnie nie zawiódł. Oczywiście były chwile, że miesiącami nie pisaliśmy do siebie, ale ja wiedziałem, że on pamięta o mnie i po swojemu żartuje, opowiadając cuda o młynie, który miałem dzierżawić, czy o żonie, o której pisałem w wierszach, a przecież jej nie poślubiłem.

Tylko raz zerwał ze mną przyjaźń. Stało się to po napisaniu przeze mnie wspomnienia o Bronisławie Michalskim, drukowanym w „Czasie" bodaj w 1937 roku.

Pisałem wtedy, że Czechowicz bał się wejść do trupiarni, by zobaczyć zwłoki naszego przyjaciela — samobójcy, zdradziłem przy tem tajemnicę jego lęku, tkwiącą w wierzeniu zabobonnym.

Józef przysłał mi do Wielowsi list i tekst mego artykułu. W liście stało o zerwaniu znajomości i przyjaźni, a w tekście były podkreślenia moich błędów językowych.

Nie śmialiśmy się z tego, kiedy przyjechałem znowu do Warszawy — nie, Józef był wzruszony, przeprosił mnie pierwszy.

Dobroć, serdeczność tego człowieka były z rzadkiego kruszcu. Nie tylko dawał nam pieniądze. Pamiętam, w 1935 roku, gdy z Domińskim mieszkałem na Radnej i żyłem w skrajnej nędzy (jeszcze w grudniu chodziliśmy w beretach i letnich „celtówkach") kupił nam na weksel płaszcze.

Ostatni raz widziałem go w przykrych okolicznościach. Działo się to po nieudanym wystawieniu w Teatrze Narodowym przez Horzycę jego jednoaktówki pt. „Czasu jutrzennego".

Słonimski drwił głośno na sali z przedstawienia, ale i my jego przyjaciele nie mieliśmy dobrego wrażenia ze sztuki. Nastrój był ciężki i w Zodiaku, gdzie wylądowaliśmy po spektaklu, a i potem, kiedy odprowadzałem go do domu. Stanęliśmy na rogu Brackiej i Al. Jerozolimskich. Jezdnia po deszczu lśniła się, błądziło światło.

Powiedziałem mu swoje zastrzeżenia prosto. Drżał, był straszliwie wzruszony i przejęty. — Moi przyjaciele to więcej niż wrogowie — szepnął.

Byłem chory i wyjechałem już w kwietniu do Wielowsi. Nie spotkaliśmy się już, nie zamieniliśmy listów. Wiedziałem jednak, że wspomina mnie, że opowiada swoje kawały na temat mego życia, które go tak bawiły.

O śmierci jego dowiedziałem się w listopadzie 1939 roku. Potem był jeszcze u mnie Henryk Domiński, który mi opowiedział szczegółowiej dzieje ich ostatniego lata i dzieje śmierci Józefa. Obydwaj uciekali na Lublin we wrześniu. Podczas bombardowania rodzinnego miasta, Czechowicz zginął w lokalu fryzjera, gdzie udał się, by się ogolić. Zginął — o losie — zresztą sam porwany i rozszarpany przez bombę, która przebiwszy sufit, nie wybuchła.

Józef Czechowicz

WIERSZE

Dzieciństwo

da ja mała pasturecka
da strachom sie wszystkiego
da nie sułka jasiecka
mego najmilejsego

śpiewała daleko gdzieś
w słonecznikowych słońcach zagubiona
wieś
były prace polne czyjeś
len się na kądzielach wije
nie wiadomo jak stały chaty
nie wiadomo dokąd szły drogi
pamiętasz tylko sęk słońcem żywicą bogaty
króliki pod progiem

może był papierowych różyczek wstąg
nad ciemnym obrazkiem pokos
może był z okien jak z łaskawych rąk
miesięcznego blask potoku
niewiadomo jak owsy szumiały kąkolom
niewiadomo

niskie ule pod słomą
zgrzane lato nad rzeką
pachnące pachy pacholąt
i ta śpiewka

da ja mała pasturecka
da strachom sie wszystkiego
da nie sułka jasiecka
mego najmilejsego

JÓZEF CZECHOWICZ

Zabawa

Usunęły pagóry, a ja nocką cichą
Przesuwam się chyłkiem z czarną jaskółczycha.

Zaśpiewało niebo modro-fujarkowo
Borom i ugorom i zielonym rowom.

Anim ja zapłakał, anim sobie świsnął
Jenom na niebiosach księżycem zawisnął.

Przez ten księżyc biały, przez ten łeb mój cichy
Przelatują ostre skrzydła jaskółczychy.

Szeptała, prosiła: Przysuń-że się przysuń,
Kocham Ciebie, chociaż taki jesteś Łysoń.

— Łysoń jestem łysoń, aleś i ty marna
Jakże cię całować, kiedyś taka czarna.

O żniwa

Żniwa huku i blasków
Czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć
nim się kolumny stolic znów podźwigną
nade mną
naleci wtedy jaskółek zamieć
świśnie u głowy skrzydło
poprzez ptasią ciemność
idźże idź dalej

Żal

Głowę która siwieje a świeci jak świecznik
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwają
noszę po dnach uliczek
jaskółki nadrzeczne
świergocą to mało
idźże

Tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny
roztrzaskane szybki synagog
płomień połykający grube statków liny
płomień miłości
nagość

Tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów
o to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz
Zniża się wieczór świata tego
nozdrza wietrzą czerwony udój
z potopu gorącego
zapytamy się wzajem ktoś zacz
Rozmnożony cudownie na wszystkich naś
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie
ja gdym z pługiem do bruzdy przywarł
ja przy foliałach jurysta
zakrztuszony wołaniem: gaz
ja śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
Ja czarny krzyżyk na listach.

Pieśń o niedobrej burzy

Oj, zaszumiały chmiele, winogrady,
ponuro, ponuro,
kiedy sypnęło lazurowym gradem
za górą.

Oj i pomknęły nadobne panienki
po ługu, po ługu,
zsunął się wężyk srebrzysty, maleńki
po pługu.

Oj, malowany panie muzykancie,
zła chwila, zła chwila!
Już się most z pawiem na młynowym stawie
przechyla...

Oj, w siwej burzy opadało kwiecie
i liście, i liście;
jużci pług w kuźni młotkami bijecie
ogniście.

Oj, malowany panie muzykancie,
umykaj, umykaj!
Śmierć twoja błyszczy na stalowym kancie,
jak mika.

Ej, skrzypki, skrzypki z samorodnej lipki
zakwilą, zakwilą...
Długo się będą zasmucały chmiele
tą chwilą...

Nie chciałeś, panie, kudłatym kowalom
uwierzyć, uwierzyć —
głowa pod mostem, nad nią wody welon
już leży...

Organy grają, panieneczki łkają,
pług dzwoni, pług dzwoni...
Czy będziesz w raju, czyli na wyraju,
w koronie?

Ej, malowany muzykancie, poco!
grał z gradem, grał, z gradem...
Nie lepiej było kochać skrzypki nocą,
chodzić srebrnego wężyka śladem...

„Wieszcz narodowy Flandrii jest głosem bohaterskim nieśmiertelnej wolności"

„Monumentalne arcydzieło na miarę Don Kiszota"
(z przedmowy Romain Rollanda).

Karol de Coster
OSOBLIWE PRZYGODY DYLA SOWIZDRZAŁA
Pierwsze wydanie zupełne ilustrowane

Str. 484 zł. 250, —

„KSIĄŻKA"

Stanisław Piętak

Maruderzy

opowiadanie z r. 1939

Zanim nasz wóz stał się wozem maruderów był sobie poczciwym wozem sanitarnym. Obsługę jego stanowili: podchorąży Koperkowski udający lekarza, mężczyzna gruby jak beczułka o ziemistej, niezdrowej cerze i oczach żółtych, bezosobowych jak u sowy, ukrainiec Mikiszczuk, chytry, pepeł fałszywego uniżenia kapral, woźnica Jarmuła, świetnie zbudowany młody chłop, o rybich oczach i ostrzyżonej głowie, strzelec Janeczko zamyślony, przystojny chłopak i wreszcie dwóch cywilów, których nie zdążono umundurować, Hoffman robotnik z zakładów starachowickich i ja Kalinowski Leszek, 23-letni student filologji.

Ja zresztą nie łatwo stałem się członkiem obsługi wozu sanitarnego. We wtorek wieczorem stanąłem do raportu, bo nogi w kostkach i w kolanach po uciążliwych marszach miałem spuchnięte i gorączkę w ustach. Odbierał raport sam pułkownik Orden, tęgi, zachmurzony oficer.

Podszedł do mnie i skrzywił się:

— Do cholery, dopiero przedwczoraj przyjąłem was z łaski do pułku, a już skamlecie.

Chlipnąłem nosem i pokazałem poranione nogi w milczeniu.

Do czego się wy nadajecie z... inteligencie?

— Może by tak do sanitariuszy — byłem rok na medycynie — bąknąłem.

— A idźcie i do sanitariuszy — niech was cholera trzaśnie!

Zameldowałem się do Koperkowskiego uszczęśliwiony, lecz okazało się, że na tę noc nie mamy jeszcze podwody, zabrał nam ją prowiantowy oficer.

Wieczór już zapadł, wszystkie kompanie stają na szosie, robi się ciemno, konie parskają i oddają mocz, słychać przyciszoną rozmowę.

Miała już ruszyć pierwsza kompania, w aucie zajechał już pułkownik przed front i wyskoczywszy z wozu zamieniał ostatnie słowa z oficerami stojącymi pod topolą, gdy ja z Koperskim stanęliśmy przed nim z całym taborem skarg na popłoch i nieporządek.

— A wy co do cholery, tu jeszcze się plątacie? — ryknął gdy tylko zobaczył podchorążego.

— Podwody nam nie chce porucznik Bilski dać — szepnął Koperkowski, i znając widocznie swego dowódcę dobrze, popatrzył skromnie i westchnął.

— Ja panie pułkowniku, nie pójdę, nogi, nogi — jęknąłem w tej chwili niespodzianie, jakby to moja osoba i moje nogi miały być główną troską całego pułku.

Ordon, któremu w ostatniej chwili dano inną trasę marszu, i który był wściekły z tego powodu, zaniemówił w pierwszym momencie, gdy usłyszał moje słowa. Już w sekundę potem jednak błyskawicznie wyjął rewolwer i zmierzył do mnie.

— Wont, ty inteligencie cholerny! Jeszcze raz zobaczę przed sobą, to zatłukę. Wont! Wont!...

Krzyczał bezustanku i brał za cyngiel, bo ja wciąż chciałem wykładać swoje racje i wskazywałem na nogi. Szczęściem Koperkowski chwycił mnie za rękaw i ściągnął do rowu.

— Co pan robi, czy pan jest idiotą — mruknął. — Teraz i ja pana nie mogę zabrać. Słyszał pan, że mi zakazano wziąć pana.

Kompanie poszły w milczeniu do przodu. Ja dowlokłem się do lasu z nimi, jakie dwa kilometry, ale dalej nie mogłem. Usiadłem w rowie i w strasznej rozpaczy przesiedziałem z minutę. „Zginę tu, kto mi pomoże" — szepnąłem patrząc na ciemny, nieruchomy las, który w tej chwili przerażał.

Koło mnie tymczasem przechodzili, kurząc papierosy, maruderzy. Przystawali, siadali, klęli dowództwo, wojnę, rząd, dobierali się i do bliższych sobie osób.

Przejeżdżały również szosą ostatnie podwody. Zwlokłem się znów i kulejąc, błagałem, by mnie wzięto. Wszędzie mnie odtrącano, bo byłem przecież w cywilu. Nagle ostatni wóz.. I tu mnie odepchnięto, ale ja i tak wskoczyłem, mówiąc, że niech mnie zabija. a nie ruszę się — już życie ze mnie uchodzi. Patrzę, a tu Koperkowski podnosi się z wasążka, gdzie leżał na wznak i drzemał. Popatrzył z pogardą na mnie, zaklął, ale nie zrzucił mnie, pozwolił zostać.

Tak więc stałem się członkiem obsługi wozu sanitarnego. Wóz zresztą już w 24 godzin później stał się z sanitarnego, wozem maruderów. Zdążając bowiem za innymi wozami pułku nagle zgubił się w drodze. Koperkowskiemu śnił się wolant najwidoczniej, bo trzy razy w nocy zamieniał wóz w stodołach chłopskich — no i w ten sposób zbłądziliśmy.

Całą dobę jechaliśmy na własną rękę i dopiero w czwartek rano zetknęliśmy się z naszymi. Ech, chociaż w jakiej sytuacji! Było to już w Uściługu. W szalonym pośpiechu, z pod strzałów niemieckich uciekłszy, przejechaliśmy w ostatniej chwili most na Bugu (za chwilę saperzy go wysadzili) i rozbiliśmy namioty w miasteczku.

Jeść nam się chciało, bo nie mieliśmy prowiantu ze sobą, Koperkowski wszakże nie ruszył się, by zdobyć co u wojska, Jarmuła i Janeczko poszli tedy na zdobycie chleba do sklepów na własną rękę.

Nie trzeba było czekać długo na rezultat wyprawy. Rozbili drzwi w piekarni i bagnetami torując sobie drogę wśród wrzeszczących i płaczących kobiet i dzieci, nabrali do przygotowanych worów kilkanaście bochnów rumianego chleba. Brodaty żyd, najwidoczniej właściciel piekarni, wyskoczył za nimi w pogoń, jęcząc, skomląc, ale Janeczko przystawił mu odrazu bagnet do brzucha i wepchnął z powrotem za drzwi. Przytaszczyli zdobycz. Jarmuła śmiał się, a Janeczko pobladły, skupiony ocierał pot i niespodzianie przeżegnał się. Już to on niemal co chwila żegnał się, każdą swoją myśl jakby błogosławiąc.

Koperkowski wściekły popędzał ich, wygrażał im, gnał do wozu, by siadali, ale oto naraz limuzyna zielona łagodnym łukiem zajechała na rynek i ktoś otwarł drzwiczki i wyskoczył z niej naraz. Patrzymy, a to nasz pułkownik, ten choleryk Ordon.

Skóra zaczęła cierpnąć na Koperkowskim i na mnie, tylko Jarmuła nic sobie nie robił z niczego, ale zażerał się chlebem. Pułkownik wolno podszedł i zapytał zupełnie cichym głosem:

— Skąd wyście się tu wzięli? Gdzie pułk?

Koperkowski połknął ślinę, ale nic nie zdążył odpowiedzieć.

— My zbłądzili. Wcale nie wiemy, gdzie pułk — zamruczał Jarmuła.

Koperkowski, widząc, że Ordon sam ma zaambarasowaną, niepewną minę, nabrał nagle animuszu i począł opowiadać epopeję swego wozu sanitarnego, jakby się co najmniej zabierał do pisania bohaterskiej historii. Nawet o potyczce blagował i że koło spadło...

Pułkownik coraz bardziej marszczył nos, widać, że nic nie zrozumiał. Koperkowski tymbardziej plótł i gmatwał się w szczegółach. Ujrzawszy wreszcie, że zamyślony dowódca kieruje się z powrotem do auta, nie zwymyślawszy nas nawet, zakrzyczał wreszcie płaczliwie.

— Panie pułkowniku, więc co mamy dalej robić?

Ordon nic nie odrzekł, wskazał ręką dalszą drogę na wschód. Od tego momentu właśnie rozpoczęła się epopeja nasza jako maruderów. Koperkowski chciał wprowadzić do obsługi dyscyplinę, ale to mu się nie udało.

Już w pierwszej chwili, kiedy tylko pułkownik odszedł, wyjął rewolwer i kładąc weń naboje, zaczął grozić, mówiąc, że od tego momentu jest wyłącznym panem życia i śmierci nas wszystkich, ale żołnierze tylko ponuro popatrzyli po sobie. Licho wie, co im zaświtało w głowach, dobra myśl w każdym razie im tam nie błysnęła.

Może jeszcze w tej chwili Jarmuła nie pomyślał sobie o przywłaszczeniu koni i wozu, a Mikiszczuk i Janeczko lekarstw cennych które wieźliśmy, niedługo już jednak tylko takie myśli miały kierować ich czynami.

Poczęli niektórzy już nawet knuć między sobą, choćby Jarmuła i Janeczko. Nie zastrzelili podchorążego tylko dlatego, bo nie mieli naboi — o tym miałem przekonać się później.

Koperkowski zaś jakby nie zauważał niczego, skromny urzędniczek z zakładów starachowickich, wyniesiony losem na stanowisko doktora pułku, upijał się otwarcie chwilami zaszczytu i władzy. Gdyby współżył ze swoimi ludźmi, może by się nie stało, co się stało.

Opryskliwy był właściwie z głupoty. Ptasie, szare jego oczka patrzące zupełnie bezosobowo, świadczyły najlepiej o jego małej inteligencji.

Odznaczał się jednak wielkimi zaletami charakteru, był uczciwy, skromny i odważny.

Miałem możność aż nadto przekonać się o jego uczciwości. Za Włodzimierzem wylądowaliśmy po całej nocy w pewnej wiosce, by odetchnąć swobodniej i spocząć. Byliśmy już na drodze do Łucka. Jazda w dzień szosą przy powtarzających się nalotach była już wtedy bardzo uciążliwa.

Siedzimy na podwórzu u jednego chłopa, jemy jakieś nadpsute pomidory, a raptem stanął przed nami podporucznik Kruszko, inkasent naszego pułku, blady, wysoki młodzieniec o cerze tak przejrzystej, że można by się w niej przejrzeć jak w wodzie.

Motocykl, którym jechał, nawalił mu, więc ujrzawszy Koperkowskiego zażądał od niego koni. Koperkowski nie chciał słyszeć o niczem. Pokłócili się wtedy strasznie.

Prostacka, obrośnięta białą szczeciną twarz Koperkowskiego stała się ze złości sina.

— Czekaj na pułk — tam twoje miejsce! — krzyczał.

— Wszystko w rozsypce. Nikogo nie znajdę. Pułkownik odjechał. Jako starszy rangą rozkazuję wam — konie muszą być! Piękna, złośliwa twarz podporucznika drgała jak mokra skóra na zmęczonym, rasowym koniu.

— Wiejesz. Nie dam. Idź do diabła!

Koperkowski nie uląkł się ani gróźb, ani rewolweru, nie zmiękł również na dźwięk sutych obietnic, położył się na wozie ostentacyjnie, nakrył się swoim nieprzemakalnym płaszczem i ziewając, udawał, że drzemie.

Rad nie rad Kruszenko, odchodząc od rozumu, poszukał sobie furmanki na szosie. Zresztą faktycznie wiał z pieniędzmi, jak się w kilka dni później przekonaliśmy.

Żołnierze uważali odwagę Koperskiego za coś mimowiednego, wynikającego z jego tępoty. Możliwe, że był tępy, pozbawiony wyobraźni. Mnie wszakże wzruszała jego dzielność, nie mająca w sobie ani cienia przechwałki.

Nawet wśród największego obstrzału czy nalotu, nie tracił głowy, kazał brać skrzynki z lekarstwami, pozostawał na wozie do ostatka. Konie trzęsły się, kuliły, żołnierze i oficerowie ryli się nosami w bruzdy, szukając za wszelką cenę schronu. On stał na szosie niekiedy samiutki i trzymał konie, zasłoniwszy im ślepia płaszczem.

Jarmuła, gdy to widział — pokazywał na czoło, co miało oznaczać że podchorąży jest nienormalny, inni śmiali się, szydzili, Koperkowski zaś znów siedział na wozie i jadł chleb, patrzył żółtymi oczami spokojnie, jakby się nic nie zdarzyło.

Nie wiem, czy był żonaty, czy miał dzieci, w każdym razie nie znosił żartów na temat kobiet, był bardzo powściągliwy w stosunku do uciekinierek, których na drogach spotykało się bez liku.

A tu tymczasem przyplątało się takich dwie do naszego wozu, jedna w okularach, druga jasna szatynka ze złotym ząbkiem w ustach, ładna ale już nie najmłodsza. Obie były pracownicami jakiejś fabryki ze Śląska, były ewakuowane z całym personelem i zagubiły się po droddze.

Koperkowski nie powiedział ani tak, ani nie, zatulił się w kaptur, który miał u swojej „celtówki" i patrzył jakby dziewcząt skamlących zupełnie nie widział. Jarmuła kazał jednak siadać...

Szatynka z ząbkiem zaraz rzuciła swoją walizkę na wóz i skoczyła na deskę obok Jarmuły, to samo zresztą zrobiła płacząca. Usiadła tyłem i wciąż beczała.

— Opuścił ją jej chłopiec — powiedziała ta z ząbkiem. — E, kto by tam się przejmował!

Przedzieraliśmy się, znów tuż tuż mając na karku Niemców. Wszędzie po drogach były zasieki i rowy przeciwczołgowe, żołnierze nasi stali patrząc w pole. Pluli i czekali, kiedy trzeba będzie wyjść naprzeciw z zasadzki.

Zanocowaliśmy w małej wiosce już jakie 20 kilometrów od Łucka — i tu właśnie zdarzyła się historia, która przekonała mię, że Koperkowski jest człowiekiem czystym i prostolinijnym.

Pokładliśmy się spać już, ja obok Koperkowskiego, gdy wszedł do nas Jarmuła, czerwony na gębie, śmiejący się i tłusty.

— Panie podchorąży — rzekł bez żadnych wstępów — niech pan się zabiera do tej w okularach, ja śpię ze starszą.

— Idź do diabła. Mnie nie nabierzesz na świństwa — wymruczał Koperkowski i przytulił się do siana.

Jarmuła jeszcze raz przyszedł — świtało już wtedy. Wrotnie u stodoły skrzypnęły, a Koperkowski odrazu skoczył z posłania, chwytając się za rewolwer.

— Kto tam? — krzyknął. Miał trochę lęku przed Ukraińcami i spał wciąż z bronią.

— To ja, Jarmuła — mruknął woźnica. Ukląkł na słowie i zaczął bełkotać świństwa.

— Dobra jest, idź pan do niej, mówiłem jej, że pan przyjdzie. Czeka na pana. Nie, ja nie jestem zazdrosny, idę do tej drugiej, bo pan nie chciał.

Odwal się, bo trzasnę! — krzyknął tak wściekłym głosem Koperkowski, że aż zdumiałem się, że on z taką nienawiścią reaguje.

Rano, nie patrząc wcale, kazał zejść z wozu dziewczętom, nie dał się za nic uprosić.

— Co się ujmujesz, świnio — mruknął do Jarmuły — możesz wziąć jaką dwójkę starych ludzi, to ci pozwolę.

Miał oczywiście i wady, przede wszystkim istotnie był tępy, nie potrafił się wczuć w położenie swoich towarzyszy, był nieuprzejmy przytem, a nawet brutalny.

Zło właściwie z tego wynikło, że on swoją obsługę traktował wciąż jako żołnierzy, a oni uważali się już za wolnych ludzi, którym wszystko wolno.

Pokłócił się strasznie za Łuckiem z Hofmanem, uderzył nawet w twarz swego krajana, gdy tamten mu się postawił i nie chciał pójść po wodę dla koni.

Hoffman w obecności nas groził mu zemstą, od tego czasu, wyłączając mnie, miał już Koperkowski na wozie samych wrogów. Zresztą i moja pozycja była już nie łatwa. Poznano, że jestem inteligentem, zaczęły się żarty na temat moich rąk, a potem dobierano się do mojej skóry coraz bardziej.

Nocowaliśmy już po wioskach ukraińskich. W ciemną noc raz przypadkowo byłem świadkiem rozmowy, jaką mieli: Mikiszczuk i Hoffman z bogatym Ukraińcem, u którego stanęliśmy.

Chłop, któremu Koperkowski wydał szereg rozkazów, odrazu się wrogo ustosunkował do niego.

— To tacy zawinili, że wojna — powiedział.

— Ej, gdzie tam, to idiota, trzech nie umie zliczyć. Nie wie nawet, jak świat się obraca — odrzekł Hoffman.

— Jak on się z panem obszedł, jak z psem — szepnął Mikiszczuk.

— A przecież pan jest z tego samego miasta, co i on.

— Nie ujdzie mu to na sucho. Poszukam ja go jeszcze.

— Po co czekać, jego tu można usadzić — przemówił znów chłop.

Powtórzyłem rozmowę Koperkowskiemu. Tylko chwilę się niepokoił.

— Pod sąd, pod sąd oddam — zaczął bełkotać. Nagle wyskoczył i zrobił taką awanturę, że świat się trząsł. Strzelił chłopa w gębę, Mikiszczuka i Hoffmana zwymyślał od zbrodniarzy i kazał biegiem zaprzęgać, choć to była jeszcze noc.

Jazda w takiej atmosferze była bardzo nerwowa. Patrzyli na mnie i na Koperkowskiego wszyscy z pode łba, coś knuli. Jarmuła wprawdzie na własne ryzyko chciał ukraść konie, to samo Janeczko, Hoffman i Mikiszczuk już jednak działali razem.

Wóz nasz już zresztą stał się wozem nie maruderów, ale jakby rozbójników. Gdzie tylko się nie dało, Jarmuła i Janeczko skakali z wozu i rabowali co się dało, kłując bagnetami na postrach i na prawdę. Jarmuła taszczył wory i śmiał się, popuszczał pasa, a Janeczko tymczasem blady, z szalonym uniesieniem w dziko pałających oczach biegł za nim lekkimi skokami naprężony jak struna.

Koperkowski już teraz tylko sumował te przewiny, nie strzelał, nie wymyślał.

— Sąd, sąd — mówił. Tych słów wciąż nie był w stanie powstrzymać w sobie.

Wkroczenie Armii Radzieckiej spotkało nas przed Równem.

— Wracamy! — rozkazał Koperkowski.

— Ja zostanę — rzekłem. — Czuję się wyczerpany do ostateczności i nie mam poco wracać.

— Gdybym miał władzę nad panem, kazałbym jechać — mruknął.

— Cóż, pan jest cywil. Im jednak nie pozwolę ruszyć się ani na krok!

— Nie mogę, tu mam znajomych nie daleko. Pójdę do nich — kłamałem. Rad byłem bowiem uwolnić się od towarzystwa, które przyprawiało mnie nie tylko o skurcz trwogi, ale i obrzydzenia. Zostałem, a Koperkowski pojechał. Z daleka jeszcze widziałem jak nikną w kurzu jego plecy pochylone nad ręką z rewolwerem.

Różne koleje losu rzucały mną odtąd, ale około 20 września natknąłem się w Łucku na Jarmułę. Był pijany i szedł ze swoją dziewczyną ze złotym ząbkiem, którą gdzieś odnalazł.

— Gdzie Koperkowski? Gdzie wóz? — zawołałem.

— I konie i wóz zabrali Ukraińcy — rzekł odwracając się hałaśliwie. — Mnie puścili i Janeczkę, podchorążego jednak rozwalili, wie pan...

Następnego dnia dowiedziałem się, że to z poduszczenia Mikiszczuka i Hoffmana zginął Koperkowski.

Bronisław Marcinek

Myśmy się śmiali, a Niemcy płakali...

(Wspomnienia z pobytu w Niemczech)

Zadrgały okna i drzwi od wybuchu bomby, która gdzieś niedaleko eksplodowała. Przebudziłem się i zacząłem żonę budzić śpiącą obok mnie.

— Marysiu, Marysiu, — słyszysz!?..

— C-o-o!? — odezwała się żona sennym głosem.

Nie tłumaczyłem jej „co"..., bo wyręczył mnie w tym czterokrotny huk bomb, a skutek był taki, że nie tylko drzwi się zatrzęsły, ale się otworzyły. Wyskoczyłem z łóżka w bieliźnie, a za mną żona i wybiegliśmy na dwór.

Samoloty brzęczały, jak pszczoły, światła reflektorów krzyżowały się w powietrzu ognistymi taśmami, a nad horyzontem wisiały w górze, jak żyrandole — jarzące światła.

— Co to jest? — spytała żona, wskazując jedno z tych świateł.

— To lotnicy oświetlają objekt, który mają bombardować — rzekłem.

— No, ale tam walą!... — aż ziemia się trzęsie! — rzekła żona.

— To nie prawda, ażeby ziemia się trzęsła, — powietrze drga, to dam wiarę, ale ziemia?...

— Ja ci mówię, że ziemia się trzęsie!...

— Niech tam będzie twoja prawda!... — rzekłem, nie chcąc się z żoną sprzeczać.

Warta wiejska zaczęła bić w blachę alarmową...

— Widzisz szwaby mają „bobu" — widocznie samoloty... nadlatują w naszym kierunku, o, — już słychać... — leci ich dużo, słyszysz Marysiu?...

— Słyszę!

— Lecą w stronę Witemberga, ...aha! — tam jest fabryka broni, więc może dowożą niemcom bomby — pocóż mają je robić, kiedy im za darmo zrzucą — rzekłem z uśmiechem.

— Gdyby Witemberg bombardowali — to by dopiero słychać było dobrze, bo stąd do Witemberga tylko 7 km.

— Co może się boisz? — spytałem.

— Ja się boję? — ja się cieszę!... Jutro będę się śmiała z Wilika, powiem mu: — no jak tam Willy Berlin „bum! bum!" On djabeł nie dał mi wczoraj spokoju — śmiał się z Polaków, pokazywał, jak Polacy uciekali z Warszawy, gdy Niemcy bombardowali.

— A jak on pokazywał?...

— Jak?... — złapał się za głowę rękami, uciekając, — oglądał się i krzyczał: „O, Matka Boska!... Warszawa bum! bum!".

W tej chwili Witemberg oświetlili, że zrobiło się widno, jak w dzień. Samoloty warczały, syreny przeraźliwie gwizdały, migotały światła reflektorów, pociski świetlne z działek przeciwlotniczych do góry leciały, jakby iskry z palącego się domu..., lecz lotnicy z góry ich lepiej przywitali, aż i ja uwierzyłem, że ziemia się trzęsła.

Wszędzie słychać było płacz: — niemki płakały, a moja żona zawtórowała im — śmiechem.

— Co ty robisz, Marysiu?!... — Niemcy gotowi cię za to do więzienia wsadzić, wiedz o tym, że znajdujesz się w Niemczech — pchnąłem żonę do mieszkania.

— Co, będę płakała? — szkoda mi ich miast, fabryk bombardowanych, lub ich ludzi, że giną, a oni szkodowali Polskę, szkodowali nas?...

— Marysiu, — ja ich nie szkoduję, ale trzeba być ostrożnym — rzekłem do żony.

— A co, oni z Polaków mogli się śmiać, a ja z nich nie mogę?...

— Tak, — masz rację, Marysiu, — to jest najlepsza zapłata — śmiechem za śmiech.

— No, masz szczęście, bo ja myślałam, że ty za niemi stronę trzymasz.

— A gdyby tak..., to co by było?...

— Rzuciłabym cię, chociaż cię kocham!

— Ach, ty, ty,.. Chodź już Marysiu do łóżka — musim dojść do porozumienia... sto razy cię za to pocałuję... — rzekłem śmiejąc się serdecznie.

Józef Bienich

Do Józefa Pogana

„List do Józefa Pogana" nie jest bynajmniej czysto osobista zaczepka. Stawia on, aczkolwiek w sposób może zbyt uproszczony i jednostronny, zagadnienie bardzo zasadnicze — a mianowicie zagadnienie stosunku literatury chłopskiej do chłopskiej rzeczywistości. Czy literatura ta ma uznać za swoje naczelne zadanie mówienie prawdy o życiu chłopskim, przedstawianie go takim, jakim jest ono w rzeczywistości — czy też ma ona być przede wszystkim narzędziem przebudowywania tego życia według wzorów wyższych i doskonalszych niż te, które obowiązywały dotychczas.

Zagadnienie to niewątpliwie bardzo ważne ale i bardzo niebezpieczne. Łatwo bowiem może dyskusja na ten temat zabrnąć na bezdroża czczej gadaniny o np. „swobodzie artysty" lub „moralnych zadaniach sztuki". A jeżeli dojdziemy do tego rodzaju nic nie znaczących ogólników, to możemy już bawić się bardzo ładnie do końca świata.

Listu Bieńka nie pozostawi na pewno bez odpowiedzi Pogan. Zabiorą w dyskusji głos prawdopodobnie i inni pisarze. Dobrze byłoby więc zastanowić się zawczasu nad zagadnieniami, które poruszył Bieniek w swych liście i które zasługiwałyby na publiczne przedyskutowanie.

Sądzę, że najważniejszymi z nich są:

1) kwestia t.zw. „niemoralności" dzieła sztuki, 2) kwestia wierności dzieła wobec tego fragmentu rzeczywistości, który służył autorowi za model, 3) kwestia „idealizacji" czy raczej „realizmu stosowanego", który zachowując pozory wiernego przedstawiania faktów i ludzi, tak operuje materiałem, by w ostatecznym wyniku tych zabiegów powstał obraz świata potrzebny autorowi dla przeprowadzenia jego tez (hołdujący tego rodzaju realizmowi Bieniek znajdzie — zdaje się — sprzymierzeńców wśród wybitnych przedstawicieli współczesnej krytyki i teorii literatury), 4) kwestia literatury moralizującej, propagandowej, walczącej — a wreszcie 5) kwestia literatury jako **bezpośredniej nauczycielki**, jako namiastki szkoły uczącej jak żyć i działać. Kwestie te bardzo mocno zahaczają o siebie i wyodrębnić je można tylko w rozważaniu ściśle teoretycznym. Dobrze jest jednak zestawić je jako cykl zagadnień odrębnych, choć pozostających w bliskim związku ze sobą, by zdać sobie sprawę w jak skomplikowaną i bogatą problematykę może wprowadzać niewielki rozmiarami i bardzo z pozoru prywatny atak jednego literata na drugiego.

S. L.

Motto

„Zły to ptak, co gniazdo własne kala".

Drogi Józefie!

Zaraz na wstępie listu niniejszego najmocniej Was przepraszam za jego niezbyt wychuchany ton. Pochodzi to z właściwego chłopom braku zwyczaju zakładania na język czy pióro rękawiczek i ze zdolności do rąbania. Sprawa zresztą wyprana jest do izna z osobistych akcentów i posiada wyłącznie społeczno obyczajowy sens. Chodzi mi poprostu o honor wsi i o właściwe oblicze literatury chłopskiej.

Kochany Józefie!

Jesteście dobrym, ba, świetnym pisarzem, ino piszecie niedobrze, Uwzięliście się i warzechą swego wielkiego talentu grzebiecie w łajdactwie i łajnoctwie.

Czytałem już niektóre z Waszych nowelek w „Odrze"; „Orce,,, „Piaście", „Wsi" i jeszcze gdzieś i wszędzie ten sam temat: rozpustna młodzież, spędzająca noce całe na bąkoróbstwie, tępe, chciwe i nienawidzące się chłopy, kłótliwe baby i zasmarkane dzieci.

Do pioruna! Czyżby na tym zaczynał się i kończył chłopski świat?

Miejski snob, czytający owe pisanki, takie właśnie wrażenie gotów wynieść. I wyniesie. Bo obrazki Wasze są przekonywujące swoją bezpośredniością, tchnące szczerością, prostotą i artyzmem. Nikt w dziejach pisarstwa wsi z taką pasją, mistrzostwem i wnikliwą dokładnością nie grzebał w śmietnisku chłopskim — jak Wy. Dońskich kozaków podobnie oprawił Szołochow, lecz on był wszechstronnym — kreśląc minusy umiał uwypuklić i podnieść to co dobre i piękne. Wy, jak dotąd — nie. Patrzycie w przestrzeń chłopskiego żywobycia poprzez ciasny trójkąt nóg rozkraczonej wyzgulichy. A to, jak na artystę, zbyt wąskie okno. Prawda, że piszecie prawdę. Ale prawda o gnijącym trupie, choćby w najpiękniejsze szaty odziana, zawsze będzie sprawiać wrażenie czegoś cuchnącego, przykrego i niepotrzebnego. Sens takiej prawdy jest nijaki i bierny, jest aspołeczny. Wasz wielki talent stać na inną prawdę —bo ona na wsi jest — kiełkuje, wschodzi i wyrasta. Tylko Wy nie chcecie czy nie możecie jej dojrzeć.

Popatrzcie jednak uważniej w dookolne życie, a napewno zobaczycie tysiące młodzieży—wiciarek i wiciarzy orzących pod siew nowej prawdy, czy też już ją siejących. Z tej siejby wyrośnie nowy człowiek, nowa wieś i nowa Polska.

Gdy oglądniecie się w niedaleką przeszłość, wspomnicie sobie tysiące chłopów wsiowych walczących w roztolicznych oddziałach A. K., B. Ch., czy A. L. o wolność Ojczyzny. Zobaczycie setki, setki dziewcząt kurierek, łączniczek i sanitariuszek, które mimo wiejącej zewsząd grozy straszliwych mąk i śmierci kolportowały prasę, woziły pocztę i amunicję, opatrywały rannych, pielęgnowały chorych, ukrywały i żywiły ściganych. Uwidzicie pastuchów robiących przy krowach maturę, uczących się obcych języków, piszących prozą i wierszem. Ich kiepskie prace nigdy drukowane nie będą, lecz są jutrzenką Wielkiej Odmiany. Zobaczycie dziś tysiące młodzieży na ławach wszeleniejakich uczelni na wsi i w mieście, tysiące zrzeszone w organizacjach — wykuwające mozolnym trudem prac w zespołach samokształceniowych, teatralnych, choralnych it. p. lepsze jutro wsi.

Przed młodzieżą chłopską stoi olbrzymi trud przebudowy struktury psychicznej, etycznej, kulturalnej i gospodarczej wsi. Bronią naszą najważniejszą i niemal jedyną jest oświata, jest książka. Mam więc imieniem Wiciarzy i działaczy chłopskich moralne prawo żądać od literatury chłopskiej właściwego nastawienia i pomocy. Najbliższe czasy przebudowy dusz ludzkich nakładają na Was, literaci chłopscy, bezwzględny obowiązek zdeklarowania swych sił, zdolności i możliwości twórczych na rzecz walki o przemianę uczuć i pojęć.

Nie pomoże temu uprawiane przez Was z lubością dłubanie w ekskrementach, przedstawianie zafajdanych majtasów puszczającej się wyzgulichy za sztandar spraw chłopskich, czy choćby najgenialniejszy opis kłótni i bójek żrących się chłopów.

Nie tędy droga, Józefie. Literatura to nie cyrk lub menażeria. Możliwości słowotwórcze, tak rzadko się objawiające w masach chłopskich obowiązywały zawsze, a dziś specjalnie. Ze względu na wagę przeznaczenia.

Musicie więc wyławiać z mętu, chaosu i marazmu ważniejsze osiągnięcia ruchu młodochłopskiego, ubierać je w najwspanialsze szaty artyzmu i ukazywać światu wsiowemu dla podniety, przykładu i zachęty.

Musicie pięścią mocniejszych czynów tu i ówdzie wyrosłych, prać po sercach uśpionych w apatii i bierności.

Musicie słowami gorejącymi niby okruchy słońca podpalać do buntu, do zrywu, do walki z ciemnotą i złem.

Musicie szarpać, tłuc, wstrząsać zagrzewać i umacniać.

Musicie obmyślać i obrazować plany budowy jasnego jutra nowej doli chłopskiej.

Musicie ukazywać i objaśniać sposoby walki i drogi pochodu mas wsiowych ku światłu, dobroci i szczęściu.

Musicie — powiadam — bo za każde słowo odpowiedzialni jesteście przed sądem przyszłych pokoleń — bo to jest na czasy idące waszym posłannictwem, waszą dziejową misją.

Kończąc zwracam się do Was i wszystkich piszących chłopów z prośbą: Wymieńcież z sąsieka waszych zasobów literackich „ruję i porubstwo" z wszelkimi wariantami bąkotwórczych przespanek, przesłanek i kołysanek, a nasypcie tam złotych ziarn pszenicy, aby z siewu Waszego wyrastał zdrowy chleb i krzewiła się „błogosławiona dobroć człowieka".

Z ludowym i wiciowym pozdrowieniem

Bieniek Józef

Klemens Oleksik

Ewakuacja miasteczka

Miasteczko rozciągnęło się długim szeregiem na szosie
Pod tobołkiem ugina się dawny burmistrz miasta.
Matki wyszukują swych dzieci po płaczącym głosie,
a spóźniony o chwilę nikogo nie zastał

w miasteczku przyfrontowym. Pies wyrywa się z łańcucha
nadaremnie. Dzieci zapomniały o nim:
Kruczek ochrypł od wycia. Teraz słucha
jak wyjące pociski armatnie się gonią.

To złudzenie, że to fuksje w oknie ktoś podlewa.
(Jakże pysznie wystroiły się na śmierć domu)
Wystrzelony przez spoconego czołgistę zaśpiewał
ostatnie swoje wycie pocisk i wtuliwszy się w stodołę—płonął.

Krowa nie pilnowana przez nikogo wróciła z koniczyny,
z obrzękłym brzuchem. Wyciągnąwszy łeb w stronę skąd biją,
ryczy
na pustym podwórku. Nie wyszła z wiadrem gospodyni.
Nie słyszy głosu Granichy, lecz słyszy

jak ciężki bombowiec brzemienny w furię bomb żelaznych
szuka pod drzewem jej dwojga skulonych dzieci.
Ciężkim warkotem oddziela Boga od modlitw błagalnych:
na jasnowłose główki zrzuca bomby i w dal leci.

Długo wypatrywał odchodzących krzyż na wieży kościelnej.
Kruczek zawył i upadł oślepły przy budzie.
Płonęło miasteczko przy kościoła sercu kamiennym
czekając aż do ruin i zgliszcz będą powracać ludzie.
1944 r.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Adolf Rudnicki

WRZESIEŃ

Cena zł. 35.—

Tegoż autora:

»Lato« »Czysty nurt« »Koń« »Mjr. Hubert z armii Andersa« »Józefów« »Uśmiech żandarma«

„KSIĄŻKA"

Lesław Bartelski

OSNOWY

WYSZLI z sosnowego lasu. Niebo matowiało mlecznie a obłoki płynęły wolno, lekkie i delikatne jak kule mleczu.

Szli dróżką wydeptaną przez pastuchów i baby wiejskie. Szli — niewiadomo dokąd. Ich oddział, grupa partyzancka AK porucznika Korwina, został przez Niemców otoczony i prawie doszczętnie wybity. Uratowało się niewielu. Widzieli jak Korwin, po wydaniu ostatecznych rozkazów i pożegnaniu się z nimi, osłaniając ich odwrót, padł. Nieprzyjacielski cekaem siekał bezlitośnie. Korwin, okopany w dołku strzeleckim, powstrzymywał natarcie n-pla. Zalśniła w słońcu lufa jego pistoletu maszynowego, gdy nagle trafiony serią po grzbiecie, usunął się miękko w dołek. Ale Niemcy nie podchodzili. Czekali. Bali się. Wtedy zapadł zmierzch i to ich uratowało. Jastrząb objął komendę — brzmiało to ironicznie — nad oddziałkiem: zostało ich czterech. Postanowił za wszelką cenę wypełnić ostatni rozkaz Korwina. Błądząc nocą i klucząc po lesie zrobili przeszło czterdzieści kilometrów. Rozkaz brzmiał: iść do punktu X, tam zabezpieczyć broń przez staranne zakopanie i wracać do Warszawy. Po pewnym czasie nawiązać kontakt i czekać dalszych poleceń.

Śledzeni przez gwiazdy, uszli jak dotąd szczęśliwie pogoni. Dwie kompanie SS i cztery tanki, posiłkowane przez pepance i pluton cekaemów zniszczyło oddział Korwina. Jastrząb liczył na to, że przeciwnicy nie przypuszczali, aby ktokolwiek mógł im się wymknąć. W nerwowym zrywie przebili się pełzając obok czujek ss-mańskich, które półgłosem opowiadały sobie o przebiegu walki. Urywanym głosem o szorstkim twardym akcencie przekonywał jeden drugiego, powtarzając co chwila: verfluchte banditen: Jastrząb czuł, jak strasznie ciąży mu automat. Ale zrobić z niego użytek, znaczyło tyle prawie, co poddać się lub zginąć.

Dzień pienił się pysznie rozgorzałym latem. Gwizd kosów przecinał powietrze, pełne skwarnego lata. Monotonne cykanie koników polnych rozkładały ciszę, Jastrząb gwizdał, wtórując kosom — odpowiadały mu.

Zaklął i powiedział: Gdyby nie te parszywe czasy, byłaby wspaniała wycieczka. Przypomniała mu się nagle melodia piosenki, zasłyszanej w dzieciństwie, łagodna i ciepła. O jednostajnej nucie, prostej i zgrzebnej jak wspomnienie domu. Zamyślił się. Co porabiają tam — w Warszawie? Ojciec wrócił pewno z biura, Halina ze szkoły... matka.... Nie widział ich przeszło półtora roku.

Szedł przodem wpatrując się uważnie w otaczający go świat. Każdy fałszywy krok groził niebezpieczeństwem, trzeba starannie wybierać drogę odwrotu. Miał pewną, niezbyt jeszcze skrystalizowaną koncepcję: dostać się do znajomych, do dworu, ale? Właśnie, otóż to. Czy nie ma tam Niemców? I czy go przyjmą? Szedł jakieś trzydzieści metrów przed swoimi chłopakami, za nimi szedł Todek, zdrowe młode chłopisko, dalej Chmurny, na końcu Supełek. Chmurny był przyjacielem od niepamiętnych czasów Jastrzębia i poszedł za nim, kiedy ten zdecydował się wyruszyć do partyzantki. Uciekając z obławy ss-mańskiej, jak nazywał z gorzką ironią Jastrząb potyczkę, Chmurny skręcił nogę i ledwie się wlókł. Gdyby nie on, byliby o wiele dalej, ale Jastrzębiowi nie przechodziło nawet przez myśl zostawienie Romana gdzieś we wsi. Szli dalej w milczeniu, zmęczeni upałem i marszem. Roman, idący w tyle kulał mocno i zaciskał zęby. Noga napuchnięta w kostce za każdym krokiem sprawiała mu niesamowity ból i szedł już ostatkiem sił. W ustach czuł pragnienie niesamowite, wargi miał spękane gorączką.

— Janek! — stanął, oparł się na lasce prowizorycznej, uciętej z wierzby i czekał. Supełek przystanął a Todek warknął: — Panie plutonowy!...

Jastrząb usłyszał i zawrócił .

— Pomyślałbyś, żeby wykombinować coś do żarcia — zaczął Roman.

Janek stuknął się w czoło. — Prawda chłopcy, zdaje się, że mam coś w kieszeni. Uśmiechnął się. Ale uśmiech ściągnął się w bolesny skurcz grymasu. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej olbrzymią brudną chustkę i zardzawiony nóż. — No, jest — powiedział z triumfem, — ale Roman skrzywił się. Był to kawałek, może ćwierćkilowy, stęchłego razowego chleba, niemal posiniałego i zapleśniałego.

— Ech, — powiedział Jastrząb zachęcająco — jadłem już i gorszy.

Roman zaklął cicho. Janek uważnie popatrzał na niego. Wgłębione bólem oczy patrzyły na niego z takim wyrzutem, że Jastrząb zagryzł wargi.

— Co, w ząbki kłuć cię będzie? — powiedział, nie patrząc na Romana.

— Cholerę w bok! Nie wygłupiaj się, tylko dawaj. Głodny jestem jak sukisyn, a to całe twoje gadanie wyłazi mi bokiem i mam go gdzieś!

Todek zarechotał szerokim śmiechem.

Jastrząb popatrzał na niego spodełba i wziął się do krajania chleba. Podzielił na cztery równe części, każdą prawie ważył w dłoni, nim podał je kolegom. Dając Romanowi powiedział:

— A myślisz, że dla mnie wielką przyjemność stanowi patrzenie na twą głupią mordę? — Roman popatrzył na niego i powiedział:

— Janek, a ty nie jesz?

— Przecież ja nie węzmę od ciebie.

— Jedz!'— powiedział ostro Jastrząb, nie wygłupiaj się, ząb mnie boli — wskazał na swą zarośniętą twarz. — Franek, — zwrócił się do Todka. Wszyscy siedzieli na trawie. — Masz tu manierkę i przynieś mi wody. Pić mi się chce. Poczekam na lepsze żarcie w domu. Będziemy tam za dwa dni. — No, ruszaj się, — krzyknął — masz najmłodsze nogi, a łazisz jak mucha w miodzie! Podał manierkę Todkowi, który poszedł w stronę strumienia.

— Moglibyśmy zanocować i zatrzymać się u chłopów. Ale te sukisyny będą jeszcze dziś lub jutro patrolować. Gdyby nas znaleźli, to spaliliby wieś i mybyśmy tak czy owak dostali w czapę. Jeszcze tylko ten jeden dzień... byle przez jutro...

Poszli wolno dalej, noga za nogą. Po półgodzinnym marszu wyszli z lasu, gdzie opodal nad wąskim ruczajem rozciągał się spory pastewnik. Krowy graniaste i rude, pochylone łbami ku ziemi, szczypały trawę. Pastuszek, bosy i obdarty chodził po pastwisku, podśpiewując sobie. Jastrząb poszedł naprzód, tamci, ukryci za krzakami, czekali.

Kiwnął na chłopaka:

— Mały, chodź no bliżej!

Pastuszek podszedł i zatrzymał się.

— Jesteś z tych stron?

Mały uśmiecha się i poważnie kiwa głową.

— Czy wiesz, gdzie leży majątek Osnowy?

— Niecha pan idą prosto, o tam... — czerwonawą dłonią wskazał na zakręt, gdzie trzy topole pyszniły się wspaniałymi koronami: Będzie ze dwa kilometry — dodał.

Jastrząb pytał dalej i chłopiec ośmielony zbliżył się. Patrzał ze zdziwieniem na obrośnięta twarz i przybrudzone, zakrwawione od powierzchownego draśnięcia kulą ubranie.

— No dobrze, a ile masz lat?

— Latoś byńdzie jak kończe dziesięć.

Potem Janek rzucił pytanie, tak niby od niechcenia:

— A Niemcy tu są?

Chłopak zaczerwienił się. Popatrzał na niego uważnie i spytał.

— Niemcy. Ziandarmy?

Jastrząb kiwał głową. Chłopak odpowiedział: — Jak czasem. Czasem są, a czasem ich nie ma.

— A teraz?

— Niby ich nie ma, powiedział ociągając się. — Wy partyzant... — spytał, patrząc Jankowi prosto w oczy.

Janek roześmiał się. — A czemu się pytasz?

— Jak wy jesteście nasz, to nie chodźcie do dworu. Tam Niemce często siedzą i piją. Pan Krasnodębski częstuje ich gorzałką a potem nimi chłopów straszy.

— Eee, nie taki on groźny, — roześmiał się Janek. — Dam sobie radę.

— Wy młody, was szkoda — powiedział wymijająco pastuszek.

— No uciekaj, bo ci krowy w szkodę wejdą.

— Nie ma, panie tamuj nijakiej szkody. — powiedział chłopak.

Jastrząb wrócił do kolegów. No, idziemy zawołał już zdaleka wesoło, idziemy! Znam te strony!

— Skąd?

— Byłem tu na wakacjach.

Zbierają się i przeciągają. Idą łąką naukos, między pola orne. Weszli potem na drogę, wąską wiejską drogę pomiędzy płowymi rżyskami. W cieniu zieleni wychyla się drewniana kapliczka, męka Pańska. Jastrząb i Todek zdejmują czapki, Supełek szepcze coś znieruchomiałymi wargami. Jakaś dłoń położyła na wstępie kapliczki wiązankę polnych białych, żółtych i fioletowych kwiatów. Już przywiędły. Z za pagórka wynurzył się koń, potem widać oracza. Chłop szykuje podorywkę. Koń mały, chudy, gniadosz, o wystających żebrach, robi bokami i nurza się w ziemi kolebiąc. Chłop powłóczy nogami i woła od czasu do czasu drewnianym głosem: Wio wio! Todek aż promienieje cały i krzyczy, kiedy podchodzą bliżej: Szczęść Boże!

Chłop odpowiada ponurym głosem, nie przerywając roboty.

Idą dalej. Droga o wyżłobionych, zaschniętych koleinach opada w dół. W dali czuby topoli gąbczasto pienią się zielenią, prześwita biały dwór:

— Osnowy! — mówi z namaszczeniem Janek. — Osnowy! — powtarza.

Wstępuje w nich jakaś nadzieja, zbierają wątlejące z każdą chwilą siły, nawet Roman kusztyka raźniej. Nadzieja odpoczynku, przede wszystkim odpoczynku dodaje im sił. Janek idzie podenerwowany i pełen wyczekiwania. Może mały mówił nieprawdę, może tam siedzą Niemcy?

Dochodzi ich ujadanie psów. Droga skręca raptownie na prawo, niknąc w lasach. U podnóża leśnego widnieje wieś, chałupy kryte słomą, stodoły, olszynka, stawek. Czarna Wieś, myśli Janek, ale powtarza na głos.

— Osnowy! Idziemy.

I skręcają w lewo, ścieżką dochodząc do kamienistej szosy. Przed nim bieli się dwór: Osnowy.

*

W jadalni, w białym kręgu obrusa wszystko wydaje się inne. Dzień wczorajszy drga w pamięci jak wspomnienie potwornego snu. Atak tanków na ich pozycje, ostrzał z pepanców, rozrywające się pociski z wyciem i sykiem, ranni i zabici, smuga lasu, która pochłania ich odwrót, wydają im się opowieścią z innych czasów. A było to wczoraj. Przeszło i czekają na to, co ma nadejść. Irena? myśli Janek, wpatrując się w gospodarza. Irena — greckie imię, oznacza spokój. Rozmowa toczy się obojętnie. Roman milczy, a Janek wtrąca coś od czasu do czasu, tamci dwaj są pochłonięci jedzeniem. Todek stęka i mlaska, Supełek siedzi przygarbiony nad szklanką herbaty.

Cisza. Krwawo przygasa słońce, załamując się lekko na szybach. Pełznie po ścianie czerwonym językiem i zastyga w ciemń. Poza topolami niebo jest już granatowe, a tylko ku górze przebija się blaskiem.

Roman przerywa milczenie i zwraca się do gospodarza.

— Jaki krwawy zachód. Jutro będzie wiatr, a może burza.

Krasnodębski kiwa głową. Wchodzi dziewczyna.

— Pokój dla panów gotowy — mówi. Todek patrzy na nią łakomie, dziewczyna pod jego wzrokiem czerwienieje.

— Dziękujemy — mówi Jastrząb.

Jeszcze chwilę siedzą, dziewczyna wychodzi. Krasnodębski pochyla niżej głowę, jego czerwona mięsista twarz odcina się od koszuli. Siwą pręgą migają wąsy. Mówi cicho, jakby konspiracyjnie:

— Więc ,walczycie?

Janek skinął głową.

— Czy wam się nie wydaje, zapytuje z naciskiem, że walka jest beznadziejną i szkoda ofiar.

Janek czerwienieje, Roman patrzy ponuro przed siebie.

— Niemcy, to kolos! — z naciskiem orzeka Krasnodębski.

— Kolos? — Janek patrzy na niego i uśmiecha się. Smutnie i ironicznie. Kolos? — powtarza. — Ale zwycięstwo będzie nasze. Kiedy, to jeszcze się okaże. Idziemy ze świadomością zwycięstwa na dziś i świadomością wyrównania krzywd społecznych na jutro!

— Krzywd społecznych, młodzieńcze? — pyta Krasnodębski. I robi się nieprzyjemnie.

Janek wysuwa się bliżej, opiera łokcie o blat stołu i zaciskając prawą pięść, mówi:

— Socjalizacja form ustrojowych postępująca naprzód, tym więcej na skutek wojny musi wyrównać pewne krzywdy społeczne i zetrzeć zakrzepłe formy...

Krasnodębski uśmiecha się ironicznie.

— Może reforma rolna? Co? — pyta Janka i pochyla się ku niemu przez stół, wielki, czerwony, wciśnięty w ubranie. Ciąży nad ciszą.

— Choćby reforma rolna. Nasza walka musi zakończyć się przeprowadzeniem pewnych reform. To nie jest walka tylko o wolność. Chłop nie może czekać drugie dwadzieścia lat! — unosi się Janek.

Krasnodębskki cofa się wgłąb fotela, podrywa, gwałtownym ruchem sięga po sklankę i pije herbatę, głośno z ciurkotaniem.

— Chłop musi dostać ziemię... powtarza Janek, patrząc tamtemu w oczy. Krasnodębski stawia z hałasem na spodeczku szklankę i patrzy na Janka.

— Gdybym nie znał pana rodziny... cedzi przez zęby, to bym sądził, że pan zwariował. Skąd u licha, u pana młodzieńcze takie poglądy...?

— Nie! — ucina Janek. Nie tylko w to wierzę, ale także i o to walczę.

— I gotów pan polec za jakiegoś tam brudnego chłopa? pyta Krsanodębski. Unosi głowę do góry, ściąga brwi, drżącą dłonią zaczyna podkręcać wąsy, które siwym sznurkiem przecinają siną czerwień twarzy. Todek chrząka, robi się cisza. Wszyscy patrzą, każdy w inną stronę.

— Tak! — w skupioną ciszę padają słowa Janka jak wystrzał.

— Dobranoc panom. Panowie są dzisiaj zmęczeni.—Mówi cicho Krasnodębski i wychodzi. Wszyscy wstają. Todek z hałasem odsuwa krzesło i czerwienieje pod surowym wzrokiem Jastrzębia. Dziękują i wychodzą. Janek bierze na plecy Romana i wdrapuje się z nim na górę. Chmurny łagodnym ruchem obejmuje Janka za szyję dwoma rękami, trzymając się go mocno. Stojąc na górze, Janek odwraca się i widzi skamieniałą w spokoju Irenę. Roman kładzie się na łóżko, Janek pomaga mu się rozbierać. A może lepiej nie?

— Cóż nie wierzysz temu staremu szlachcicowi? Przecież gościnność jest cechą staropolską! śmieje się Janek.

— Niepotrzebnie z nim zadarłeś.

— Ee, tam. Todek chrząka. Albo byńdzie naszo Polska albo inszej nie byńdzie. Kładą się po dwóch na łóżkach i zasypiają. Jest wpół do dziewiątej. Jakimś cudem zegarek Janka jeszcze idzie, więc go nakręca.

Usypiają. Po pewnym czasie Janka budzi okrzyk Chmurnego: Niemcy, Jezus Maria!, Niemcy! Wyskakuje z łóżka, podchodzi do okna i patrzy. Jest cisza, świecą się na niebie gwiazdy i kołysze się wielkim śmiejącym sierpem księżyc.

— Co się stało? pyta rozbudzony Roman.

— Krzyczałeś na cały głos, Niemcy! Janek mówi cicho, aby tamtych dwóch nie przebudzić. Śpią twardo, nawet nie obudził ich krzyk.

— Musiało mi się śnić, — mówi Chmurny, i tak przez sen...

— Chcesz papierosa? Roman wyciąga rękę i Janek podaje mu jednego. Zapala zapałkę i w jej świetle widzi niemal popielatą twarz Romana.

Milczą, potem Janek dodaje: myślę o tym, co oni tam robią w domu? żyją powszednim pełnym wyczekiwania życiem. Matka, ojciec, Halina? No, ale trzeba iść spać.

Nagle szczekanie psów, dalekie tłumione przestrzenią a jednak gwałtowne i wściekłe rozdarło ciszę.

— Słyszysz, Roman?

— Eh, psy szczekają do księżyca. Może jakiś złodziej się podkrada.

— Może mi się wydaje?

— Coś ściska go za gardło, czuje lodowaty chłód koło serca. Przeczucie? Podskoczył do okna i zaczął wpatrywać się w przestrzeń. Jakiś warkot. Roman także wstał i dygocąc stał obok, zesztywniały, znieruchomiały i patrzał. Narósł warkot samochodu, mocniej, głośniej, chrapliwy jęk. Zamarli, zesztywnieli.

Pierwszy przemówił Janek: jak twoja noga, Roman? Chmurny powiedział szeptem: słyszysz? i umilkł. Słychać było tylko ich nerwowe oddechy i głośne chrapanie Todka. Samochód podjechał gdzieś z boku, psy dworskie ujadały ze wszystkich sił, z dołu dobiegło ich szuranie po żwirze i tubalny głos.

— Franz, wir gehen herein!

Jastrząb odrywa się od okna i dopada śpiących. Szarpie nimi rozpaczliwie. Niemcy, wstawajcie, Niemcy!!! krzyczy. Supełek przez sen powtarza: Rozkaz, panie poruczniku. Bogdan, Franek!!! Niem-m-cyyyy!!! Szarpie nimi, ściąga z łóżka.

— Co? — pyta rozespany Todek.

— Wstawaj cholero, wystrzelają nas.

Todek usiadł na łóżku i drapie się w głowę.

— Spać nie dajecie, pytam po dobrowoli?

Supełek nerwowo ubiera się, Roman stoi przy oknie. Ma twarz stężałą spokojem. Nieomal kamienny spokój ściąga mu schorzałe rysy w twardy grymas. Kąciki ust opadają i świadczą o zaciętości. Z dołu dochodzi odgłos bieganiny, szurania butami, ktoś śmieje się, twarde obce dźwięki mowy.

— Może cywile...

— Ciii... Roman położył palec na ustach. Ani pary...

— Chodzą?

Przechylił się przez parapet. Tak — skinął głową. Todek klnie cholernie, ale cicho. Jest jeszcze zaspany i przeciera oczy. Co u Boga Ojca? Jastrząb stoi przy drzwiach z automatem w ręku cały zasłuchany. Ręką rysującą się w półmroku daje znać, aby kategorycznie milczeli. I księżyca już nie ma, zaszedł za chmury. Jest ciemno, zdołu dochodzi ich odgłos otwierania drzwi, Jastrząb słyszy wyraźnie głos dziedzica Krasnodębskiego: Hier sind ja keine Menschen, sondern Kommunisten. Uśmiecha się, więc nie są nawet ludźmi. Zamierają wszyscy w bezruchu. Chmurny trzyma pistolet „Visa" i pyta szeptem:

— Czy nasze drzwi są zamknięte na klucz?

Jastrząb odpowiada, że ledwie go słychać;

— Co nam to pomoże.

Supełek przygarbił się jeszcze bardziej i wygląda jak olbrzymi wydłużony znak zapytania. Todek sapie ciężko, jest już rozbudzony całkowicie, narzuca na siebie wybrudzony płaszcz i mówi:

— No, cholera! Trzeba iść w piach!

— Stul pysk! syczy Jastrząb.

Todek pręży się, pełen humoru, już pogodzony z losem, mówi:

— Tak jest, panie plutonowy.

Jastrząb uświadamia sobie, że ciężar ich życia spoczywa na nim, na jego decyzji.

— Granaty? pyta.

— Są cholery! cyka przez zaciśnięte zęby Chmurny.

— Franek! mówi Jastrząb, zobacz czy nie dało by się uciec oknem. Wyjdź na parapet i spróbuj. Ty, Bogdan i Roman uciekajcie, a my damy sobie radę...

— Nie! mówią tamci dwaj jednocześnie.

— Jakto nie? denerwuje się Jastrząb.

Todek podchodzi do okna i wychyla się wpół. Z dołu dochodzą go pomieszane głosy i płacz. Psy zaczynają wściekle ujadać. Todek staje na parapecie i próbuje sięgnąć dachu. Cholera — mówi — za wysoko, nic z tego nie wyjdzie. Jastrząb mówi do Romana: Weź automat ode mnie, może ja spróbuję. Chmurny kładzie pistolet na łóżku i odbiera pociemku od Jastrzębia pistolet maszynowy. Staje przy drzwiach i Janek majaczy sylwetą na prostokącie okna. Nagle pod ich drzwiamy dochodzi jakiś szmer. Skrzypią schody, ktoś wychodzi na górę. Ciężkie podkutke żelazem kroki. Roman zagryza wargi, otwiera po cichu drzwi, nie słyszy krzyku Jastrzębia: — co robisz, do cholery!—a tylko słyszy: no, no, wir werden sie gefangen nehmen — i blask latarki pada w roztwarte drzwi. Roman wyskakuje naprzód i wali z automatu. W wychylający się cień. Krzyk i stukot ciała, moment przeraźliwej ciszy i wszystko naraz zrywa się: szczekanie psów przechodzi w przeraźliwy jazgot, płacz podnosi się i opada. Krzyki puchną. Niemcy rzucają z dołu granat. Upada przed ich drzwiami i wybucha. Dobrze, że Roman zdążył już je zamknąć. Dziurawi im drzwi. Odskakują i kiną: niech go! Od granatu w przedsionku zapala się podłoga. Mieszkają na poddaszu i rozpryśnięty ogień zżera poszycie drewniane. Zaczyna się palić i dymić cały dwór.

Dym zaczyna ich powoli dusić.

— Franek — syczy przez zaciśnięte zęby Jastrząb. Jest opanowany i spokojny. Myśli o tych, co zostali na dole. Co robi Irena? Franek krzyczy na cały głos: granaty?!!! Jastrząb kiwa głową potakująco. W nich! Przez okno! Todek powoli z godnością odbezpiecza karbowane jajko. Waży w dłoni jak siewca ziarno, odchyl... się robi półłuk ręką i rzuca. Czyjś niesamowity krzyk rozdziera się na równi z wybuchem granatu, dym i znowu cisza. Ogień zaczyna przegryzać gonty dachu. Jastrząb czuje, że koniec. Spogląda jeszcze w okno, jakby chciał wyśledzić na niebie jakiś trop, może znak? W blasku płomieni widzi rozparte cienie topoli.

Z węgierskiego tłumaczył ADAM BAHDAJ

BALLADY SEKLERSKIE

Dwie seklerskie ballady ludowe, które zamieszczamy poniżej w przekładzie p. Adama Bahdaja, zapoznają nas z twórczością artystyczną środowiska bardzo ciekawego i mało jeszcze u nas znanego. Seklerzy, szczep węgierski zamieszkujący w Siedmiogrodzie, przypominają pod wielu względami naszych górali. Są oni także mieszkańcami kraju górskiego, ubogiego w ziemie orne, a więc z konieczności szukającymi źródła zarobku w zawodach innych, podobnie jak i nasi górale. Nieobce są im również tradycje „zbójnickie", zbogacone i uszlachetnione tradycjami długotrwałych walk z Turkami o niezależność Siodmiogrodu. Rodzima kultura seklerska czerpała nie tylko z kulturalnych tradycji węgierskich, ale również ulegała wpływom kultur sąsiednich, co było nieuniknione ze względu na fakt, że Siedmiogród znajduje się na pograniczu etnicznym (Węgrzy, Rumuni, Karpatorusini) oraz politycznym (dawniej Węgry, Turcja, Wołoszczyzna i Mołdawia, później Austria i Rumunia, obecnie Węgry i Rumunia).

Wszystkie te czynniki złożyły się na wzbogacenie kultury ludowej Seklerów i nadanie jej cech bardzo swoistych.

Ze względu na to, że Seklerzy są góralami i mówią gwarą różniącą się od literackiego języka węgierskiego, tłumacz starał się dać jej odpowiednik językowy stosując w przekładach gwarę góralską.

Mulorzowa Kelemenowa

Dwunostu mulorzy cingie ino radzi,
Jakoby tyn zomek wysoki postawić,
Jako wymurować? – Dobro to robota!
W połowie za śrybło, w połowie za złoto
Już do miasta Devy dali zameldować,
Już devański zomek zacyni murować:
Co postawiom wiecór wali sie na rano,
Wali sie w południe, co rano stawiano.

Cingie ino radzi dwunostu mulorzy,
Cy wystawić zomek scyńście im sie zdorzy.
Dopiro po kwili przysło im do głowy
Stropieniu zaradzić wedle tyj umowy:
Ftóro baba pirso ku nom przydzie tela,
Łapimy jom wartko, wrazim do popiela,
Łozmisomy z wopne spopielone ciało,
Coby z tego wopna zomcysko powstało.

*

Woźnico, woźnico, woźnico kochany,
Fcem jechać do mynza popod zamku bramy! –
Pedziała mulorza Kelemena baba. –
Zatrzymoj konicki, fte jo bede rada,
Zatrzymoj swój wasiong i stoń wedle niego,
Jedziemy do zomku wartko devańskiego.

– Kie w połowe drógi zondzies w tamte strony,
Haw tnie sikawica i bijom pioruny.
Wracojciez do domu, moja droga pani,
Straśny znok widziołek w nocnym śnisku lo nij;
W okrutnym tym śnisku tako była mara:
Ide do chałupy swoka Kelemena,
A cało chałupa pokryto w żałobie.
Na środku podworca — tak jakoby w grobie –
W wykopanyj studni lezy chłopok jego.
Tako mi sie widzi – śnisko nic dobrego.
Moja miło pani, wracojcież z powrote!
– Woźnico kochany, nie fcem słyseć o tym.
Wasiong przecie nie twój, konisie nie twoje.
Zatnij kónia bice, jedziemy we dwoje.

W strone devańskiego zomku wyndrujoncych,
Obocył Kelemen ze sercem bijoncym.
Zdjynty straśnom trwogom, modlić sie zacyno:
O, mój mocny Boże, nie dejze im zginonć!
Syćkie śtyry konie niek połamiom nogi,
Syćkie śtyry koła niech się zwalom z drógi!
Zastowze im dróge błyskawicy grote,
Niek zmyncone kónie wracajom z powrote!
W devańskie zomcysko wyndrujoncym cało
kóniom, wasiongowi – nic sie im nie stało.

– Dziń dobry, dziń dobry, witojcie mulorze!
Jako sie wom wiedzie w tym wysokim dworze?
I wom tyz dzindobry, mój ty Kelemenie, —
Wito mynza zona, a on ze stropienie:
– Moja ty kochana, tobie tyz dzińdobry,
Ale czas wybrałaś dzisiok nie tak dobry.
Dwunostu mulorzy tak se uradzili:
Ftóro, pirwyj baba przydzie tutok naska,
Ułapić jem wartko, wrazić do ogniska,
Zmisać piknie z wopne słabe ciało pańskie,
Z tego wymurować zomcysko devańskie.
Tak se uradzili, insyj nima rady –
Za dobrom zapłate trza spełnić układy.

Baba Kelemena, kie to zmiarkowała,
Z bolesnego serca tak im odpedziała:
Pockojcie, pockojciez, pockojciez, wy zboje!
Dejcie telo czasu, kiele potrzebuje,
Kielo potrzebuje zegnać swe kamratki,
Ściskać swego synka z cołym żole matki.
Hań z tela powraco fnet Kelemenowa
Do zomku wielgiego, co sie mieni Deva.
Łapili jom wartko, wrazili we watre,
Pote popielisko łozmisali z wopne.
Tak se uradzili, insej nima rady –
Za dobrom zapłate trza spełnić układy.

Kelemen kamieniorz fnetki wraco doma.
Jego mały chłopok z daleka juz woło:
– Bóg mi niesie doma mojego tatula!
A kany ostała kochana matula?
— Cicho chłopce, cicho – ociec mu odpedzioł –
Wiecór bedzie doma, wiecór, bedzies widzioł.

Boze mój, Boze mój, wiecór juz nadchodzi,
A moja matula doma nie przychodzi.
Tato, drogi tato, powidzcie wierutnie
Ka je moja matka, bo mi straśnie smutnie.
– Cicho chłopce, cicho – ociec mu odpedzioł –
Rano bedzie doma, rano, bedzies widzioł.

Boze mój, Boze mój, rano tuz nadchodzi,
A moja matula doma nie przychodzi.
Tato, drogi tato, powiedźcie wierutnie
Ka je moja matka, bo mi straśnie smutnie.
– Idź do devańskiego wielgiego zomcyska,
Hań je twojo matka zakuto w skaliska.

Płacyncy sei chłopok do zomku wielgiego,
Płacyncy sei w bramy zomku devańskiego,
Trzy razy wyzywoł zomcysko ogromne:
— Matuś, moja matuś, przemów choć roz do mnie!
Dyć nie moge pedzieć, bok mindzy murami,
Ściśninto okrutnie tymi wantulami.

Pynkło chłopcu serce. Zimia sie łozwarła.
I z nim jego boleść haw w te grote wpadła.

Hej, pawie... hej, pawie!...

Hej pawie, hej pawie, pawie cisorzowej!
Bidny chłopok byłem, dumnom dziwke wzionem,
Ale jij dogodzić nigdy nie umiołem.
Posłem roz do miasta — kirpce jij kupiłem
Wróciłem do domu — na stół położyłem:
Mój skarbie zonecko, powidz mi — mój panie,
Jo, nigdy, przenigdy, póki życia stanie.
Dyć do ojca winksi chadzali pankowie —
Im nie pankowałam i nie bede tobie.

Hej pawie, hej pawie, pawie cisorzowej!
Bidny chłopok byłem, dumnom dziwke wzionem.
Ale jij dogodzić nigdy nie umiołem.
Posłem raz do miasta — suknie jij kupiłem,
Wróciłem do domu — na stół położyłem.
Mój skarbie, zonecko, powidz mi — mój panie.
Jo, nigdy, przenigdy, póki zycia stanie.
Dyć do ojca winksi chadzali pankowie.
Im nie pankowałam i nie bede tobie.

Hej pawie, hej pawie, pawie cisorzowej!
Bidny chłopok byłem, dumnom dziwke wzionem,
Ale jij dogodzić nigdy nie umiołem.
Posłem roz do lasu — kulika wyciołem,
Wróciłem do domu — pod ławe schowołem.
Mój skarbie, zonecko, powidz mi — mój panie.
Jo, nigdy, przenigdy, póki zycia stanie.
Wyciongnołem kulik — sprawiłem jij lanie.
Panem moim, panem, do śmierci ostanies!

Jerzy Sikorski

Z niedawnych dni Katowic

Jest rzeczą zadziwiającą, że wszystkie prawie artykuły z czasów okupacji niemieckiej, dotyczą życia polskiego na terenie generalnej gubernii. Społeczeństwu bardziej są znane stosunku społeczno - polityczne emigracji polskiej we Francji czy Anglii niż los Polaków na ziemiach wcielonych do rzeszy w r. 1939. Bezwiedne pomijanie tych ziem we współczesnej publicystyce zawiera niebezpieczeństwo jednostronności przekazów historycznych dotyczących tego okresu.

1-go września o godz. 3,15 wdarła się hitlerowska banda dywersyjna w liczbie 150 ludzi do huty „Zygmunt" w Łagiewnikach. Na terenie huty wywiązała się zaciekła walka, w rezultacie której członkowie bandy zostali wyparci. 57 dywersantów padło, 52 schwytano, reszcie udało się zemknąć. Najbardziej zacięta walka toczyła się w Michałkowicach, gdzie inna banda niemiecka w sile 120 ludzi, uzbrojona po zęby w broń ręczną i maszynową zdołała opanować kopalnię „Michał".

Górnicy wespół z powstańcami śląskimi zdołali po kilkugodzinnych walkach wyprzeć Niemców, którzy stracili 80 zabitych. Takie wiadomości dochodziły do Katowic w pierwszym dniu wojny. Samoloty niemieckie zrzuciły na lotnisko katowickie 2 bomby w godzinach rannych. Podczas dnia nastąpiło jeszcze około 5 nalotów.

Na murach Katowic pojawiła się odezwa wojewody Grażyńskiego apelująca do „takiego współdziałania z armią, które będzie najwyższym wyrazem czynnego patriotyzmu". W sobotę 2 września sytuacja stała się bardzo poważna. Policja i wojsko opuściły miasto. Wojewoda zadając kłam swej patriotycznej odezwie wyjechał w towarzystwie małżonki z Katowic, aby uratować swoją osobę dla dalszej „państwowo-twórczej" pracy.

W dniu 3 września zmotoryzowane jednostki Wehrmachtu dotarły z południa do parku Kościuszki. Niemcy napotykając na huraganowy ogień powstańców, harcerzy i harcerek wycofali się pod dwór w Brynowie. Dopiero 4 września przed południem Niemcy zdołali przełamać linię obronną. Obrońcy bili się z niesłychaną brawurą. Jedna z harcerek położyła się na wznak niby zabita, a po oddaleniu się Niemców podniosła głowę i zasypała ich kulami.

Główne siły niemieckie wkroczyły jednak do miasta nie z południa, lecz z zachodu o godz. 10.30. Harcerki w ubraniach cywilnych podchodziły z bukietami do oficerów niemieckich. Po kilku sekundach rozległy się strzały, a ciała butnych prusaków legły na jezdni. W śródmieściu rozszalał się bój uliczny. Prażono najeźdźców z kamienic przy ul. 3 Maja, z gmachu K.K.O., z teatru i budynku huty „Pokój". O godz. 12 zlikwidowali Niemcy opór polski. Rozpoczęły się masowe egzekucje. Tylko nad samą Rawą rozstrzelano 80 powstańców i harcerzy.

Obrońcy usłyszawszy przez swych łączników o zamordowaniu bohaterów nad Rawą rozpoczęli o godz. 15 na nowo ogień. Strzelano z budynku muzeum, z dachu giełdy zbożowej, z domów wojewódzkich przy ul. Reymonta i ul. Lompy. Zasypano Niemców ogniem z wieży na dworcu. Gmachu sądu bronili sędziowie i gimnazjaliści. Po kilku godzinach zdołali Niemcy przezwyciężyć opór. Niesłychane bohaterstwo wykazała grupa powstańców, broniąca się w gmachu „Powstańca". Walki o ten budynek trwały z przerwami około 70 godzin.

Po opanowaniu gmachu przez Niemców walka przeniosła się do piwnic i rur kanalizacyjnych. Numer „Kattowitzer Zeitung" donoszący o dotarciu zmotoryzowanych czołówek niemieckich do Warszawy podaje również wiadomość o zaatakowaniu niemieckiej kolumny wojskowej przez powstańców w Katowicach.

Trupy obrońców przetransportowali Niemcy do krematorium w Gliwicach. Kilka trupów przetransportowano do szpitala, gdzie po zdarciu ciała wysłano kościotrupy do instytutów niemieckich. Około 120 bohaterów zostało pochowanych na cmentarzu w Panewnikach pod Katowicami. Na grobie umieszczono napis: „Hier liegen die Korfantybanditen!"

Nadeszły twarde lata okupacji.

Bezwzględną walkę wydali Niemcy językowi polskiemu. Z każdego kąta czerwieniły się napisy: „Weg mit der polnischen Sprachschande!" lub „Wer polnisch spricht ist unser Feind!" Po rozklejeniu tych afiszów aresztowały patrole organizacyj hitlerowskich każdego, kto ważył się mówić po polsku. Park Kościuszki i kąpielisko na Bugłowiźnie były w r. 1940 świadkami krwawych zajść. Dochodziło do walk na noże między po polsku mówiącą młodzieżą Katowic a gestapowskimi agentami. Polacy przechodząc przez park Kościuszki zatrzymywali się koło wieży spadochronowej, rozpamiętując jej bohaterską obronę 4 września 1939 r. Wieża ta, która byłaby się Niemcom bardzo przydała przy szkoleniu skoczków, została z tego powodu zdemontowana.

Germański wandalizm wypowiedział się najjaskrawiej w zarządzeniu zburzenia gmachu muzeum śląskiego. Ten gigant architektoniczny, którego budowa była prawie zupełnie zakończona, był wzorowany na gmachu muzeum w Madrycie. Przez pięć lat pracowali tu robotnicy polscy i żydowscy od rana do późnego wieczora na rozkaz Niemców, aby zburzyć pomnik polskiej kultury.

W Katowicach, jak we wszystkich innych miastach Polski, podawano sobie z ust do ust wiadomości o zwycięstwach aliantów. Często widniały na parkanach napisy „Niech żyje Polska". Na kominie cegielni w pobliżu siedziby Gestapo wywiesił ktoś nazajutrz po kapitulacji Francji flagę biało-czerwoną.

Grób przywódcy ludu śląskiego Wojciecha Korfantego nie pozostał opuszczony. Czasami nawet w nocy kładli patrioci na gołą płytę grobową wiązankę kwiatów. Na zaduszki gromadził się wokół grobu lud, aby zmówić pacierz za duszę tego, który zwiększył Polskę o Śląsk. Niejednego zaaresztowali agenci gestapo przy modlitwie.

Terror niemiecki wzrastał z każdym miesiącem. Na strzelnicy w parku Kościuszki dokonywano masowych rozstrzeliwań. Często zajeżdżały pod wieczór asfaltową szosą masywne auta ciężarowe kryte płachtami, po egzekucji wyjeżdżały auta z trupami do krematorium gliwickiego.

Lęk i postrach ogarniał mieszkańców Katowic na wieść o „czerwonej wdowie" w więzieniu przy ul. Mikołajewskiej. Tam z oddziału B1 szło się poprzez tzw. Abgangszelle" do sali, w której na wprost drzwi zwisała czarna zasłona, która rozsuwała się po słowach prokuratora „Ich übergebe sie dem Scharfrichter!". Za zasłoną ukazywała się gilotyna. Z przodu można było widzieć cynkową rynnę, którą ściekała krew, i kosz na spadające głowy. Kat katowicki był wytrawnym mistrzem w swym zawodzie, tak w jedną tylko noc z 29 na 30 października 1942 r. ściął 21 skazańców.

Gubernator Frank wygłosił podczas swej wizyty u gauleitra Brachta przemówienie przed korpusem wyższych kierowników partyjnych. Według relacyj „Kattowitzer Zeitung" z 23. III. 1944 wykazał Frank głębokie więzy łączące gubernię z Górnym Śląskiem. Frank szczególnie zaakcentował polityczną tożsamość zagadnień narodowościowych („die politische Gleichartigkeit der Volkstumsprobleme").

W jesieni 1944 r. grupa partyzantów śląskich sporządziła plan sytuacyjny willi, w której mieszkał prezydent policji SS-Brigadenführer Ramsperger, i przekazała go jednostce lotnictwa sowieckiego. Po kilku tygodniach celnie rzucona bomba trafiła w samą willę. Ponieważ było to w dzień zaprzysiężenia Volkssturmu, odbywała się tam akurat orgia. Gauleiter Bracht, wiedziony dziwnym przeczuciem, opuścił rozbawione towarzystwo kilka minut przed zrzutem bomby.

Maciej Czuła

Pokój i wojna

Fragment pamiętnika z wojny 1914—1918 r.

Dzień 27 lipca 1914 r. jest nie tylko historyczną datą wybuchu I-ej wojny światowej, ale także dniem, w którym — jak prawie nigdy dotąd, zapulsowało w milionach serc Polaków spontanicznie pragnienie wolności. To też do którejkolwiek formacji — do legionów, czy do służby wojskowej w jednym z państw zaborczych zaciągał się w owych pamiętnych dniach — rekrut — Polak, jednego musiał być pewny, że z tej ogólno światowej zawieruchy powstać musi wolna, niepodległa i zjednoczona Polska.

Przed ogromnymi afiszami zatytułowanymi „Do moich ludów" rozlepionymi wszędzie, a zapowiadającymi ogólną mobilizację gromadziły się tłumy ludności, komentując z niepokojem orędzie starego cesarza, marjonetki w rękach wojskowej kliki — wojna miała na celu poskromić rzekomo Serbię, — jak głosił manifest, za to że dopuściła do zamordowania przyszłego dziedzica austrjackiego tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, w rzeczywistości mord sarajewski był tylko iskrą co padła na gromadzony od dawna proch.

Choć nie odznaczałem się nigdy zbytnią skwapliwością do wojskowej służby w obcem państwie, a przytem czułem i wstręt do służby w piechocie, o której kawalerzyści mówili, że jest zapomniana przez wroga i pogardzana przez ludzi, zgłosiłem się do mojego macierzystego 12 p. p. z gotowością bić się za Cesarza i Ojczyznę, bo innego wyjścia nie miałem. Moi młodsi koledzy, którzy powstępowali do legionów, porobili potem „bycze" kariery. Mnie, austriackiemu piechurowi — któremu nie wolno było — zaciągnąć się do innego wojska, nie pozostało nic więcej ponad twardą służbę polową na froncie, której by i zwierz nie wytrzymał.

W historycznych „krzysztoforach" rojno było niczem w ulu. Tutaj rozlokowano z powodu braku miejsca w koszarach 7 kompanię 13 p. p., której komendantem był kapitan Nowaczek z nazwiska Czech, z pochodzenia Niemiec. Wydano nam polowe mundury, opaski na brzuch, uzbrojenie i nieodzowne t. zw. śmiertelne legitymacje, aby wiedziano kogo się grzebie na polu chwały na wypadek zaginięcia jej właściciela.

W końcu poćwiczono nas trochę w polu abyśmy nie zapomnieli wojskowych chwytów i przygotowano do marszu w pole. Ostatnie ćwiczenia, na których austriacka sztuka wojenna miała zabłysnąć w całej pełni odbyła się w Liszkach za Krakowem. Spotkaliśmy tam także i I kompanię legionową, z którą podzieliliśmy się zawartością naszego kotła, bo im zabrakło jedzenia. W przeddzień wyjazdu w pole dostaliśmy beczkę wina, która nas nastroiła dość ochoczo. Przy naszym odjeździe Kraków szalał za swoimi dziećmi. Nie było oficera, ani nawet żołnierza, któryby od swoich, a w braku tychże i od nieznajomych nie otrzymał wiązanki kwiatów, czekolady lub innych łakoci.

W ten sposób i mnie się dostało od jaknejś babiny parę gwoździków, obwarzanek i paczuszka cukierków mentolowych, które w marszu okazały się nie ocenione, gdyż gasiły pragnienie. Myśmy się rewanżowali cywilom tytoniem, którego mieliśmy w bród, ale którego z tych samych powodów nie chciał nikt brać od nas. Parę miesięcy później, gdy tak żołnierze jak i cywile palili z braku prawdziwego tytoniu bukowe liście, paczka tytoniu była nieraz niedostępnym rarytasem.

W umajonych zielenią wagonach, niby wesołym nastroju i przy dźwiękach rozmaitych melodii ruszyliśmy wreszcie w podróż w nieznane. Było już dobrze ciemno gdy wysiedliśmy w Sędzinowie pod Rzeszowem, gdzie spędziliśmy noc w stodołach, poczem rozpoczął się w tamtejszych piachach forsowny marsz przez Rzeszów, Kolbuszowę, Zalesie, Rozwadów, Radomyśl ku granicy, którą przekroczyliśmy 22 sierpnia o godz. 10 wieczorem.

Nazajutrz podczas marszu pochwycono i powieszono dwuch Bogu ducha winnych chłopów, których uznano za szpiegów, a którzy prawdopodobnie zbierali drzewo w lesie.

Dnia 24 sierpnia 1914 roku nie zapomnę nigdy, ponieważ w dniu tym mój macierzysty pułk 13 otrzymał pod Krośnikiem ogniowy chrzest, a ja zrozumiałem mniej więcej co to jest wojna. Niedługo bowiem spotkaliśmy pierwszych rannych i zabitych. Ciężko ranni żołnierze przewracali się z boku na boki, i wyli z bólu żebrząc o ratunek, zabici leżeli gęsto w różnych pozycjach w lesie i na drodze, i trzeba ich było w marszu lub w biegu przeskakiwać.

Austrjacy i Rosjanie leżeli już zgodnie obok siebie, a Rosjan, ponieważ nas interesowali, oglądnęliśmy z zaciekawieniem, rozkoszując się ich herbatą, czarnymi sucharami, cukrem i konserwami.

Dzień był gorący i duszny, rzadkie krzaczki i zasiane łubinem pola dawały nam minimum chłodu, mimo to znalazłszy się nagle w ogniu walki, pokładliśmy się na ziemi z radością strzelając i czołgając się ku nieprzyjacielowi, który odpłacał nam się z nawiązką.

Co się dalej działo trudno opisać. Znajdowaliśmy się wszyscy w jakimś djabelskim młynie, w którym jeden drugiego nie słyszał, nie rozumiał bo strzelał zapamiętale, a od huku armat i bzykania kulek pękała nam głowa. W końcu nie wiem jak się to stało, że znaleźliśmy się w rosyjskich okopach.

W krwawej tej bitwie stoczonej u progu wojny i zwanej bitwą pod Krośnikami zginęło dużo moich kolegów, choć sam jakoś ocalałem.

Wrażenie z pierwszych krwawych bojów było dziwne. Przede wszystkim miło mi było stwierdzić, że mimo że znajdowałem się w pierwszej linii w samym centrum bitwy, i nawet parę zabłąkanych kulek znalazłem w odzieży, nic mi się nie stało, przyszedłem tedy do przekonania, że nie każda kulka trafia, czyli że na wojnie można żyć. Stwierdziłem jeszcze ponadto, że po takiej krwawej „pracy" dostaje się silnego apetytu, który na wojnie nie zawsze można zaspokoić.

Najbardziej deprymująco podziałała na nas wiadomość, że wśród rannych i zabitych na placu boju po stronie rosyjskiej znalazło się dużo Polaków. Powtórzyła się zatem jeszcze jedna scena jakby z Grottgerowskiego obrazu „Na pobojowisku" i spełniły się słowa poety G. Słońskiego:

„Rozdzielił nas mój bracie zły los i trzyma straż,
W dwu wrogich szańcach patrzymy śmierci w twarz
W okopach pełnych jęku, wsłuchani w armat huk
Stoimy na wprost siebie, ja wróg twój, ty mój wróg!"

Straty w pierwszych, jakby próbnych bitwach, nie były wśród żołnierzy najlżejsze. Żołnierz w ogniu walki rzadko dobrze celuje i strzela najczęściej Panu Bogu w okna. Karabinów maszynowych było po obydwu stronach, na początku wojny nie wiele, zaledwie jeden na batalion czyli cztery w pułku. Ręcznych granatów, gazów, automatycznej, zmotoryzowanej lub pancernej broni nie znano w ogóle. A pierwsze próbne granaty próbowano robić z puszek od konserw. Stosunkowo duże straty ponieśli oficerowie. Ubrani w błękitne mundury, przepasani jedwabną żółtą „feldbindą", z czapką z bączkiem i w rękawiczkach „glatze" byli znakomitym dla nieprzyjaciela celem, z czego nie omieszkał on też korzystać.

Zaraz w pierwszej potyczce zginął generał Kutnera, zapodział się gdzieś pułkownik Krossek, kapitanowi Kramarzowi urwała kula armatnia nogę, poległo też kilku innych dowódców kompanii, tak że komendę musieli przejąć młodzi niedoświadczeni oficerkowie, co się potem skrupiło na przebiegu bitew.

Nie pomogły oficerom ciężkie żelazne tarcze noszone na piersiach, które miały chronić od śmierci, ani chowanie się za plecy swoich puclików. Dopiero gdy się upodobnili do infaterystów przydziewając podobne jak oni mundury, straty wśród oficerów powtarzały się rzadziej.

Po walce pod Kraśnikiem, roztrąbionej zwycięstwem, które nie musiało być tak bardzo decydujące, skoro nie długo d-ca tego odcinka gen. Dankel, został odwołany, zapanował jakiś czas spokój, gdyż walki pozycyjne trwały tam od 28 sierpnia do 10 września. Ponieważ posunęli się w Małopolsce wschodniej naprzód, trzeba było wyrównać front, i w tym celu nakazano nam odwrót. Cofanie to całej armii dość długo trwające i niesławne zaczęło się 12 września i trwało do końca tego miesiąca. Cośmy przez ten czas ucierpieli i jakich klęsk nie byliśmy świadkami! Nieprzyjaciel, szczególnie kozacy, nie dali nam ani chwili spokoju nasuwając na nas z tyłu flanki, przez co w końcu opanowało nas tak straszne znużenie i wyczerpanie, że żołnierze maszerowali śpiąc, a armia topniała w zastraszający sposób.

Jakiś czas potrafiliśmy się cośkolwiek oderwać od nieprzyjaciela, co dowództwo wykorzystało na danie nam krótkiego odpoczynku. Było to już z powrotem na granicy austriacko - rosyjskiej przed Sanem. Biwakujemy zatem i zjadamy resztki niewielkich zapasów jakie nam pozostały, gdy wtem rozlega się przeraźliwy wrzask: Kozacy! Zrywamy się i rzucamy naprzód do ucieczki, cóż skoro jedyny most na Sanie jest za szczupły żeby wszystkich uciekających w obłędnym strachu, pomieścił. W dodatku podpalono go jeszcze przedwcześnie — i tysiące żołnierzy musiało się rzucić w stare zdaje się koryto Sanu, zdradliwe łąki, które niestety okazały się bagnami, w których setki żołnierzy postradało wtedy życie. Nikt ich nigdy nie odnalazł i krzyża nie postawił.

Nie chciałem dostać się do niewoli, którą utożsamiałem ze śmiercią, ani nie chciałem utopić się w bagnie. Brnąłem w nim naprzód po pas, wreszcie po szyję, aż napiłem się niechcący smrodliwej wody, którą miałem już po usta. W tej rozpaczliwej sytuacji podniosłem głowę gdzieby szukać ratunku i dwie kulki świsnęły mi koło głowy z tych jedna musnęła mnie po włosach. To Kozak wziął mnie tonącego za cel niby kaczkę, zapewnie z litości ażebym się w bagnie nie moczył, jednak instynkt samozachowawczy nakazał mi walczyć do ostatka. I mimo że w uszach, ustach i nosie miałem pełno błota, żem się już zaczynał dusić, a rój komarów, much i bąków kąsał dotkliwie, wierzgnąłem ostatkiem sił, przy pomocy karabinu robiąc ruchy jak przy pływaniu i wydostając się w ten sposób na powierzchnię. Dostałem się w ten sposób do leżącego opodal lasku, gdzie upadłem zemdlony. Obudziłem się niedługo drżąc z zimna i głodu i ruszyłem poszukiwać mojej kompanii. Gdy ją nareszcie odszukałem, z 260 ludzi naliczyłem 70 ocalonych. Zginęła zatem połowa kompanii, reszta utopiła się w bagnie lub dostała się do niewoli. Płakaliśmy dziękując Bogu za ocalenie i szczęście w nieszczęściu.

W dalszym odwrocie znalazł się 13 pułk 16 września w Rozwadowie, a 23 września w Mielcu. Nadmierny wysiłek fizyczny, głód, zimno, zmęczenie i brak spoczynku sprawiły, że opadałem z każdym dniem z sił, aż kiedy pewnego razu trawiony gorączką ugasiłem pragnienie łykiem brudnej wody z rowu, bo studzienki na lekarstwo nie było, dostałem boleści, krwistego rozwolnienia co wskazywało, że nabawiłem się niebezpiecznej choroby czerwonki, jaka wtedy robiła w szeregach żołnierzy na froncie wielkie spustoszenie. Nie bacząc na skutki ucieszyłem się chorobą, chociaż w tym czasie nawet choremu trudno było opuścić front i przejechać się do szpitala. Nie pozwalał na to ani lekarz, ani władze i jedynie cholera, tyfus, zapalenie płuc, kwalifikowały chorego do odesłania w głąb kraju. Jakoś jednak potrafiłem się do szpitala wyrwać i za 2 dni znalazłem się na pierwszym jego etapie w Tarnowie, gdzie nas karmiono jałowym ryżem i rozdano opium na wstrzymanie rozwolnienia. A oprócz mnie było jeszcze kilkudziesięciu chorych na czerwonkę.

W Tarnowie na dworcu samo wojsko. Zdrowi, ranni i chorzy. Dla epidemicznie chorych przygotowano osobny, ciężarowy bydlęcy pociąg, w którego wagonach rozlokowano nas po kilkunastu, nie dając nic za posłanie. Nikt nas nie objaśnił dokąd jedziemy, albo czem się będziemy w drodze żywić. Nareszcie pociąg przeładowany chorymi ruszył, wlokąc się powoli, czas się dłużył, przez małe okienka przechodziło światło, minął dzień i noc a kresu podróży nie było. Szczęściem w tej naszej udręce i boleściach, dużo czułego serca okazywały nam panie z czerwonego krzyża, częstując nas herbatą i czekoladą — cóż skoro choroba dawała się nam boleśnie co kilka minut odczuć, woleliśmy się zatem, — paniom przeważnie młodym i pięknym nie pokazywać na oczy. Po dwu dniach i nocach przykrej nad wyraz podróży, pociąg nasz stanął na stacji Trenczyn — Cieplice, w miejscu kąpielowym na Słowaczyźnie. Stamtąd wyniesiono nas z powodu naszego osłabienia, już na noszach do szpitala.

Szpital ten był skleconym z desek barakiem, dość obszernym i jako tako oczyszczonym. Ułożono nas na żelaznych, czysto pościelonych łóżkach, a nie długo potem sanitariuszki przyniosły nam gorącego wina na pokrzepienie po podróży. Tym winem i herbatą musieliśmy się żywić kilka tygodni do czasu wyzdrowienia kiszek mocno owrzodziałych — na rany, które żadnego innego posiłku nie przyjmowały. Z przybytkiem zdrowia dostawaliśmy cokolwiek cieleciny, grysiku z mlekiem lub nawet szynkę z bułką. Żadnych specjalnych lekarstw prócz opium i środków dla zatamowania krwawienia nie stosowano. Po miesiącu takiej kuracji wyglądaliśmy jak szkielety, po dwu miesiacach choroby niektórzy przenosili się do wieczności, inni zaś wyzdrawiali. Do tych ostatnich należałem i ja, a choć zdawało mi sie, że wszystka krew ze mnie odpłynęła, starałem się nadrabiać miną. Odesłano mnie jeszcze na miesiąc do miejscowego Sanatorium, gdzie były siarczane kąpiele, bulki, szynka, piwo, wino, a miejscowi ludzie znosili nam rozmaite łakocie. Niedługo odesłano nas do domu rekonwalescentów w Morawskiej Ostrawie, a stamtąd do kadry względnie do t. zw. „Sammelstelle", punktu zbornego wyzdrowieńców ze wszystkich okolicznych szpitali. Składało się ono z kilku drewnianych szop, komendy, kuchni, latryn, odwszalni, magazynów i wreszcie izb na pomieszczenie wyzdrowieńców. W barakach przeznaczonych na noclegi świstał wicher, kuchnia była siedliskiem szczurów, a z latryn śmierdziało na kilka kilometrów wokoło.

Patrząc na wszystko co się tu działo zdawało mi się żem zstąpił z nieba do piekła. Brudne prycze, również brudni lokatorzy, nieznośny zaduch, kwaskowaty zapach spoconych ciał, cuchnący odór rozwijanych onuc oraz niezdrowe, chorobliwe chrapanie spędzonych tu ludzi przyprawiały o mdłości i zawrót głowy. Czułem żebym się rozchorował napowrót, więc zgłosiłem się do wyjazdu na front. Spełniono skwapliwie moją prośbę, to też 20 stycznia 1915 roku znalazłem się znów z powrotem w mojej kompanii po blisko 4 miesięcznej kuracji w szpitalu.

Front walczących armii stanowiły wtedy rzeki: Bzura, Pilica, Nida i Dunajec. Zastałem w kompanii i na froncie duże zmiany. Żołnierze siedzieli przez zimę w ziemlankach, grzejąc się przy piecykach. Spało w nich po kilkunastu żołnierzy razem, zwyczajnie jeden oddział. Ponieważ był dość duży śnieg i mróz, walki ustały i tylko pojedynek artylerii i reflektory macające poruszenia w nocy nieprzyjaciela, dawały znać że to front bojowy.

Rozleniwieni żołnierze rzadko poza konieczną potrzebą wychylali nosy i głowy z ziemlanek, i tylko rozstawione co kilka kroków straże, markowane zresztą wybornie, wskazywały że to front.

W dzień on spał, za to w nocy gdy nadjeżdżały kuchnie z żywnością, ożywiał się. Wtedy żołnierze niby duchy wychylali się po jednym z ziemlanek i sunęli gęsiego po strawę. We dnie rzadko dostawali jedzenie, rzekomo z obawy, żeby je nieprzyjaciel nie zniszczył, więc też i często głodowaliśmy. A ktoś na tym dobrze zarabiał! Często się zdarzało, że po kilku tygodniowych albo nawet i miesięcznych walkach pozycyjnych nagromadziło się przed frontem całe góry poległych, których nie można było z obawy zastrzelenia przez przeciwną stronę, usunąć. W zimie było z tym pół biedy, ale w lecie nieznośny fetor z gnijących ciał był tak przykry nieznośnie, że żołnierze wymiotowali, chorowali i tworzył się w okopach szpital. W takich wypadkach jedna ze stron wojujących podejmowała inicjatywę. Ukazywał się wtedy parlamentariusz z białą chorągiewką i udawał się z nią śmiało, trąbiąc po drodze, do komendy nieprzyjaciela, który szanując zwyczaje wojenne, nie posłał parlamentariuszowi ani jednej kulki, przeciwnie przyjął go nawet bardzo uprzejmie. Oznaczono szybko czas do pochowania zwłok, poczym jedna i druga strona ruszyła chować zmarłych. Prace wykonywano niedługo, skrupulatnie, częstując się przy niej nawzajem papierosami i łakociami — poczem na komendę żołnierze cofali się do swoich lepianek i pojedynek broni rozpoczynał się na nowo.

Część naszego pożywienia na froncie stanowiły konserwy i suchary, w miarę smaczne i pożywne. Służyły jako pokarm zapasowy, na wypadek nie dotarcia na front kuchni w razie jej zniszczenia lub innych nie przewidzianych przeszkód. Z początku były nie do pogardzenia, ale potem zaczynały się psuć i były trujące. Sucharów imały się długie robaki, dziurawiące je dokładnie, to też nieraz głód nam doskwierał, a zapasowe konserwy i suchary wędrowały do kanału lub latryn. A nie jeden dostawca armii dorabiał się milionów na próbach trucia żołnierzy.

Wielką plagą dla żołnierzy były na froncie wszy. Nikt nigdy sobie nie wyobraża co to za klęska, jeśli jej nie przechodził. Ukazały się u żołnierzy już gdzieś w drugim miesiącu wojny i nie opuszczały ich aż do końca. Deszcz, słota, brak opierunku, wyczyszczenia i należytego utrzymania w czystości ciała, sprowadziły szybko tę wstrętną, piekielna plagę, którą żołnierze tysiąckrotnie przeklęli. Wszy zagnieżdżały się w ubraniach, w bieliźnie, we włosach, w

(ciąg dalszy na str. 11-ej)

Zofia Szczęsna

Do Polski i miasta

Zdaje mi się, że w moim życiu nie ma nic nadzwyczajnego, bo w takich warunkach jak ja wzrosło wiele tysięcy naszych rodzin, setki tysięcy koleżanek i kolegów, ojców naszych, a nawet babek i dziadków. Ja jestem tym przykładem, po jakich drogach i w jakich warunkach idzie się przez różne ciernie życia do własnej rodziny, do własnego ojczystego języka i do własnego kraju.

I tę drogę do rodziny, do kraju i do własnej wiadomości o sobie samej — postaram się w tych słowach opisać.

RODZINA

Rodzice moi pochodzą z zachodniej części Polski: jedno z powiatu sieradzkiego, drugie z wieluńskiego. W bardzo młodych latach wyszedł z biednych, prawie bezziemnych rodzin, przeludnionych dużą ilością dzeci: wyszli do pobliskich Prus na roboty, tam się poznali, pobrali i w Niemczech założyli rodzinę, tułając się od miasta do miasta, od dworu do dworu, od pracy do pracy, wszędzie tam, gdzie ciągnęła wiadomość o zarobku i o jakich takich warunkach życia. Byli na Pomorzu i w Prusach Wschodnich, w Westfalii i w Bawarii, w Saksonii i w Nadrenii. Tam gdzieś w barakach dla robotników rolnych nad Menem we dworze przyszłam na świat jako pierwsze ich dziecko, najstarsza córka.

Rodzice cały czas bez przerwy byli w Prusach. Czasem wpadali do Polski, posiedzieli przez pewien okres czasu, najczęściej zimą, kiedy nie było zbyt pilnych prac i dużych zarobków w Niemczech, a kiedy tu zjedli zarobione pieniądze, znów szli na ich wypracowanie. Tak było w początkach ich życia, kiedy nie mieli jeszcze dzieci. Potem te powroty były już rzadsze, czasem tylko co kilka lat jedno przyjechało jak gdyby na urlop, zobaczyć swoje strony i odwiedzić bliższą rodzinę.

Od nas do Niemiec nie było trudno wyjechać. Granica była bardzo blisko, warunki przejścia znało się bardzo dobrze, więc po prostu którejś nocy w kilku przemycało się przez linię. Bronili tylko nasi strażnicy graniczni, ale po niemieckiej stronie nie mówili zupełnie nic. Radzi byli z robotników, bo u nich ludzi do roboty było mało i byli stale potrzebni. Robotę można było znaleźć bardzo łatwo i zaraz na brzegu i daleko w głębi Niemiec.

Jak sobie matka moja radziła w tym wypadku, kiedy ja byłam jeszcze malutka wiem tylko to z opowiadania jej samej. Jakiś czas nie robiła zupełnie opiekując się mną, ale kiedy po pewnym czasie wyzdrowiałam, to chodziła do roboty, a do mnie wpadała tylko od czasu do czasu podkarmić mnie lub zrobić koło mnie porządek. Mówiła, że to było ogromnie utrapiające i ciężkie. Po pewnym czasie urodziło się jeszcze troje dzieci. To najmłodsze przypadło już na mnie, na moje starania. Musiałam je nosić, kiedy płakało, dać jeść, podłożyć świeże pieluchy. Popłakałam się przy tym nieraz, bo albo mi nie chciało usnąć, albo płakało i płakało a ja nie wiedziałam, co mu jest i nie mogłam zaradzić.

DZIECIĘCTWO

W taką szóstkę byliśmy razem. Ja z dwiema siostrami i jedyny braciszek. Od najmłodszych lat dzieliliśmy z rodzicami ich tułacze życie sezonowego robotnika w Niemczech (u nas się zawsze mówiło „w Prusach"). Mieszkaliśmy bardzo różnie. Po barakach drewnianych specjalnie budowanych dla robotników w polach, po stodołach i pustych oborach, w domach dla służby, w mieście jeżeli ojciec pracował w kopalni.

Wychowywałam się z takimi samymi dziećmi jak ja, pomiędzy którymi było bardzo dużo nieślubnych. Otaczało nas wszystko niemieckie: kraj, ludzie, dzieci, mowa. Moi rodzice przez taki długi pobyt w Prusach nauczyli się dobrze po niemiecku i pomiędzy sobą rzadko mówili językiem polskim. Nic dziwnego, że ani ja ani moje najbliższe młodsze rodzeństwo nie umieliśmy zupełnie mówić językiem ojczyzny.

W tym czasie życie moje upływało na opiece nad młodszymi siostrami i bratem, na pracy w domu, bo matka idąc do roboty zlecała mi już pewne rzeczy do zrobienia i musiałam je wykonać, żeby rodzicom pomóc. To też prawie się nie bawiłam, nie byłam nigdy taka swobodna jak ja teraz widzę inne dzieci. Byłam zawsze skrępowana, ograniczona, zajęta, przywiązana do domu i do roboty.

Nadrenię pamiętam bardzo dobrze. Ziemia jest pofałdowana, górzysta, między spadzistymi wzniesieniami przepływa Ren cały w zieleni sadów winnych. Jest to bardzo piękna kraina. Tam mi upłynęło całe dzieciństwo aż do szóstego roku życia.

W POLSCE

Rodzice mieli żywe pojęcie tego, że nie wszystko jest tak jak trzeba. Bolelj nad tym, że dzieci się chowają zdaleka od kraju, że nie umieją po polsku mówić, że nie znają swojej rodziny. Pod tym względem bardzo się różnili od wielu innych naszych ludzi, którzy po kilku latach czy kilkunastu zupełnie się niemczyli: żenili się z niemcami czy niemkami, zapominali o kraju, o rodzinie i całkowicie im to tylko wystarczało, że mieli jako tako co jeść. Takich ludzi było bardzo dużo i nawet tacy byli w mojej dalszej rodzinie.

Kiedy już miałam sześć lat, rodzice przywieźli mnie z siostrą do kraju i zostawili u mojej ciotki na wsi. Miałam tu pobyć tak długo, dopóki nie nauczę się po polsku, nie skończę szkoły. Wydały mi się te strony bardzo dziwne, choć były rodzinnymi stronami moich rodziców. Ziemia była licha, piaszczysta, niestarannie uprawna, ludzie biedni, domy małe, gorsze od niemieckich. Obok zdziwienia czułam do tego kraju, jaki mnie otaczał, coś w rodzaju pewnej pogardy, że taki niepozorny, mały i biedny. Zdawało mi się, że tamte strony, gdzie się urodziłam, gdzie się wychowałam i gdzie znajdują się obecnie moi rodzice są dla mnie czymś nie tylko dalekim, ale i świątecznym, do czego się wróci po pewnym czasie i pewnych przykrych doznaniach.

Krewnym rodzice za nas płacili. Zostawili od razu pewną sumę i później dosyłali co jakiś czas pieniądze. Rodzice moi, chociaż bezrolni robotnicy dorabiający się własnymi rękami po Prusach lepiej materialnie stali od krewnych mających sporo własnej ziemi. Tu u tej ciotki miałyśmy tak, jak to nieraz bywa w książkach.

Z początku, kiedy byłyśmy z siostrą jeszcze czymś świeżym i w dodatku były pieniądze dla nas przeznaczone, wszystko było dobrze. Ale później w miarę upływu czasu i topnienia pieniędzy dla nas przeznaczonych, osłabiały się stopniowo i uczucia rodzinne. Byłyśmy jakgdyby zawadą, która się plącze około domu i tylko kosztuje moc pieniedzy. Więc kiedy z jakichś powodów na dejście pieniędzy z Prus spóźniło się, wtedy każdy zeszyt, każdy ołówek był bardzo drogi, był tak okropnie kosztowny, żeśmy to słyszały kilka razy dziennie. Tak było dotąd, dopóki nie nadeszły zza granicy świeże dla nas pieniądze. Wówczas sytuacja nasza cokolwiek się poprawiała.

Dom więc, gdzie byłyśmy, był miejscem dość przykrym i dla nas prawie obcych wcale nie pociągającym. Tamte dalekie, ładne strony, gdzie byli rodzice, urastały w oczach naszej tęsknoty do poziomu stron osiągalnych tylko w marzeniach. Tęskniłyśmy do rodziców tym bardziej, im nam tu było gorzej i zamiast się polszczyć, myślałyśmy raczej o kraju niemieckim, gdzie byli rodzice, gdzie był brat, gdzie było wesoło i bogato.

SZKOŁA

Szczęściem dla nas wystąpiła nowa siła, która nas pociągnęła z siostrą bez reszty. To była polska szkoła. Mieściła się bardzo skromnie w połowie wynajętej przez gminę izby chłopskiej. Wchodziło się z drogi do sieni, w której w okresie lata gospodarze gotowali sobie jedzenie i stąd nieraz przez niedomknięte drzwi napływały do nas najrozmaitsze zapachy warzonych potraw.

Ale to jakoś nie przeszkadzało. Wszystko nas tu czarowało. I biały orzeł na portrecie otoczony koroną ze świerkowych gałęzi przybraną papierowymi różami i kolorowe książki za szybą małej czarnej szafy przeznaczonej na bibliotekę szkolną, i tablice z różnymi zwierzętami i roślinami i wiele innych rzeczy, których tam w Niemczech nie mieliśmy, bośmy byli od tego odgrodzeni.

A nade wszystko ciągnęła postać samej nauczycielki.

Była to p. Maria Czyżewska, która pochodziła gdzieś z daleka, i mówiła nam, że brata ma artystą — poetą i malarzem. Widziałyśmy go, bo do niej przyjeżdżał i słyszałyśmy bardzo często o nim. W jej słowach ten daleki brat urastał na wielkiego człowieka*)

Ona, ta nasza nauczycielka, nas spolszczyła. Dzieci lubiła bardzo, z tej skromnej salki prawie nie wychodziła, urządzała z nami wycieczki, doznałyśmy słodyczy pierwszych popisów na scenie w przedstawieniach dla dzieci szkolnych i rodziców. I uczyła, uczyła, uczyła. Dzień dnia, cały czas. Tu poznałyśmy litery, poznałyśmy książki, poznałyśmy historię, poznałyśmy niedalekie groby w lasach z 1863 roku i wiele innych ciekawych rzeczy.

Bardzo pokochałam tę nasza nauczycielkę. Ona nam zastępowała dalekich rodziców, karmiła miłym słowem i serdecznym obejściem. Cała nasza potrzeba posiadania kogoś bliskiego była przez nią zaspakajana. Z chęcią biegłyśmy z siostrą do szkoły rano, z niechęcią wracałyśmy do domu ciotki, gdzie nas czekał nowy wyrzut, że „jak wy ta piszeta w tej szkole: ciągle tylko kajyty i kajyty".

A pani w szkole mówiła krótko: weźcie książki i czytajcie. To ja brałam i z tą książką wędrowałam jeszcze dalej niż do Nadrenii. Wędrowałam po całym świecie. Z Robinsonem byłam na bezludnej wyspie. Ze Stasiem Tarkowskim i Nel uciekałam przez pustynię — i inne jeszcze rzeczy ciekawe, które teraz nie są już takie pociągające, jakby już takich ładnych książek nie było.

Książki lubiłam nad wszystko.

Pamięć tej pierwszej szkoły i tej pierwszej nauczycielki zapadła mi głeboko w dusze. Do dziś ją mam w sobie jako coś bliskiego i drogiego z okresu życia, który był najprzykrzejszym i równocześnie najszczęśliwszym. Przykry przez otoczenie krewnych i szczęśliwy przez taką szkołę, przez którą ja dziecko bezrolnych rodziców siedzących w Prusach stałam się równa wszystkim dzieciom z okolicy, których rodzice posiadali własną ziemię i własne gospodarstwa.

POWRÓT RODZICÓW

Wreszcie rodzice uznali, że dość mają już tułaczki po Prusach, i postanowili z odrobina grosza wrócić do kraju, ażeby tu się już osiedlić na stałe. Przyjechali więc w roku 1936 i w ten sposób połączyłyśmy się z nimi na dłużej, bo przedtem odwiedzali nas tylko bardzo rzadko najwyżej raz do roku.

Zamieszkali na wsi na komornym. Trochę pracowali dorywczo w pobliskim dworze, trochę żyli z tych zapasów pieniężnych zapracowanych w Niemczech. Zamierzali sobie kupić trochę ziemi, ażeby ulokować pruskie oszczędności w tym, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Pieniądze były bardzo drogie i woleli je mieć przy sobie niż lokować w ziemi.

W poszukiwaniu trwalszego zajęcia ojciec przeniósł się z powiatu sieradzkiego do łódzkiego pod Zgierz, gdzie pracowaliśmy w majątku fabrykanta Michalskiego, mającego swój zakład w Łodzi. Następnie w skutek nieporozumień ojca z właścicielem, niechcącym uznać w ojcu otartego o świat człowieka, przenieśliśmy się znów na wieś w powiecie sieradzkim. Stąd po roku pobytu rodzice osiedlili się w Sieradzu wynajmując mieszkanie dla całej rodziny.

Tu skończyłam siódmy oddział szkoły powszechnej i po tej szkole musiałam iść w obowiązek do ludzi, ażeby zarobić na siebie jako trzynastoletnia dziewczyna. O tym, żeby się uczyć dalej, nie było mowy. Trzeba było spłacić dług wdzięczności rodzinie i współpracować z nią tym bardziej, że ojcowskie młodzieńcze charania po Prusach zaczęły teraz wychodzić na wierzch — chorował od czasu do czasu.

NA SŁUŻBIE

Moja praca u ludzi obcych trwała bez przerwy przez lat prawie dziesięć. Byłam cząstką zarabiającą rodziny. Jednocześnie była to dla mnie nauka gospodarowania domowego, bo rodziny, u których byłam w obowiązku, lepiej miały się materialnie niż my.

Przez cały ten czas zmieniając domy co pewien okres poznałam bardzo dobrze nasze rodziny i naszych ludzi, a jednocześnie doświadczyłam bardzo wiele. Była to dla mnie prawdziwa „szkoła życia". Mogę stwierdzić, że nasze rodziny są dla służących raczej złe. Rozdyma je duma z tego powodu, że ich stać na trzymanie służącej, że mają takiego kogoś, komu mogą rozkazywać, kto od nich zależy i musi wykonywać najbrudniejszą robotę. Rzadko gdzie doznałam ludzkiego traktowania, więcej uważano, że służąca to jest taka osoba, która nic nie wie, nie czuje, nie przeżywa. A ja wiedziałam wiele, czułam głęboko i przeżywałam jeszcze głębiej. Do wielu rodzin czuję żal teraz, choć w tym domu pracowałam, spałam i jadłam. Gospodynie z wielkich domów mają pretensje do służących, ale te służące wychowują się właśnie u tych pań i są takie, bo nie mogły być innymi z winy pań.

KATASTROFA

Na wiosnę roku 1938 umiera mój ojciec po długotrwałej chorobie. Teraz moja praca jest prawie najważniejszą — moje zarobki są jednym z filarów utrzymania matki i młodszego rodzeństwa. Musiałam chodzić w jednej sukience a wszystko oddawać do domu. Ale rosłam w lata i rozumiałam, że inaczej być nie może, że moje zlekceważenie życia brata i sióstr to dla nich prawie śmierć głodowa. Rozumiałam też pytanie własne, dlaczego to jest w ten sposób, że jedni ludzie mają wszystkiego aż za dużo a drudzy prawie wcale. Rósł we mnie żal do ludzi, do takiego układu i rósł bunt, żeby to jakoś zmienić, przebudować.

Wkrótce przyszła wojna. Uniknęłam śmierci, choć o to było bardzo nietrudno. Ażeby jednak uniknąć wywiezienia na roboty do Prus, musiałam tak samo przyjąć służbę tym razem u Niemca. Wojna więc pod tym względem nie wiele w moim położeniu zrobiła — zmieniła tylko Polaka na Niemca. Moim pracodawcą był zniemczony Polak z Bydgoszczy — Walter Markowski. Siedział bardzo mało w domu i nawet nie miał okazji prawie ujawnić swojego nastawienia do mnie. Zato jego Frau, niemka podobno czystej krwi też z Bydgoszczy (choć z domu Bullwitz) dała mi się porządnie we znaki. Dokuczała jak mogła. Przecież byłam tylko służącą i tylko Polką. Więc szafowała wymysłami, ile tylko było okazji, a i o polskiej świni też słyszałam nieraz. Niemcy się tą nazwą specjalnie popisywali i lubowali się nią. Umiała się pastwić tak, jak tylko Niemki potrafią.

PRZENIESIENIE

Po skończeniu wojny i wyrzuceniu Niemców, w czasie którego miałam uciechę widzieć prawdziwy strach tych panów świata obejrzałam się za jakąś inną pracą niż pracą służącej. Dość już miałam tych ludzkich humorów, tych kuchni, gdzie patrzano na ręce, żeby więcej nie zjeść niż łaska gospodyni pozwoli, gdzie każde zdrzemnięcie oka uważano za śpiochostwo, a każde słowo protestu za bunt godny kary.

Dowiedziałam się między innymi od koleżanki, że w Łodzi jest wielkie zapotrzebowanie na ludzi do pracy. A ponieważ umiałam szyć dość dobrze, więc miałam nadzieję znalezienia pracy w tym zawodzie. I tak się stało. Pracę mam. Przeniosłam się po tych tyraniach po wsiach i po miasteczku do miasta, gdzie mam stałą pracę. Daje mi ona skromne utrzymanie, ale jestem niezależna, swobodna, pracuję w określonych godzinach, jak swoje zrobię, to nikt mi nic nie powie, czuję się niezależna, sama na sobie polegam. Żebym tylko jeszcze mogła znaleźć mieszkanie, byłabym prawie zadowolona. Mieszkam teraz u koleżanki kątem, gdzie nas mieści się w małym pokoiku trzy osoby. Musimy się wzajemnie męczyć.

Za wsią tęsknię, bo jest ładna, świeża i zdrowa. Na wsi jest ładnie, tylko nie dla każdego jest dobrze. Dla mnie powrót na wieś oznaczałby przyjęcie służby we dworze albo w dużym gospodarstwie. Z początku tęskniłam do wsi, do swojego miasteczka, a i teraz ile razy jadę zawsze mnie ogarnia rozrzewnienie na widok znajomych domów, dróżek i ludzi. Jednak przywykam już do miasta, do chodników, do kin, do teatrów. Nie często w nich bywam, ale częściej niż to się działo wtedy, kiedy byłam na wsi.

Moje koleżanki czy to ze wsi czy z miasta zazdroszczą mi jak czegoś co jest wielkim losem i nawet chciałyby się uciec do mojej protekcji, by dostać jaką pracę w Łodzi, do której już zdawien dawna szli ludzie z naszych stron po zajęcie, pieniądze i chleb, a rzadko kiedy wracali z powrotem na wieś, żeby pracować na roli. Miasto ich pociągało: tu się mniej narobili, tu się czyściej i ładniej ubrali, do chodzenia mieli chodniki a nie wiejskie błoto.

Ja na miasto nie narzekam.

*) Chodzi o poetę i malarza Tutusa Czyżewskiego.

(dokończenie ze str. 10-ej)

miejscach intymnych, wdzierały się za skórę, dręczyły i gryzły do krwi i szału cierpiącego. Nie pomagały żadne środki ostrożności czy pranie bielizny, bo zarażał się niemi jeden żołnierz od drugiego. Nie dały się wytępić ani wytruć i wprawiały w rozpacz zarówno oficera jak żołnierza.

Byli jednak żołnierze co znosili tę plagę z anielską cierpliwością. Nie tylko się wszami nie przejmowali, ale układali z nich tyraljerki, albo w wisielczym humorze posyłali w listach rodzinie jako dowód pamięci. Ale byli i tacy, co drapali pogryzione i swędzące ciało do krwi, rozdzierali w nachodzie furii te rany i wyli z bólu i rozpaczy. Mścili się za to śpiewem:

„Bośmy żołnierze jak te psy, bezdomni
my włóczędzy,
Biją nas w skórę — gryzą wszy,
z Austrii skrawek nędzy, —

Czasem dostało się przy tej sposobności i oficerom:

„Gdy krwią się twoją żywią wszy, nie
dziw się im żołnierzu,
Wulgarne bowiem są te wszy
z gwiazdkami na kołnierzu" *)

Jeżeli w czasie pokoju panowała w wojsku sroga dyscyplina, to w czasie wojny przemieniała się ona częstokroć w sadyzm i okrucieństwo. Nikt młody, kto wojny w wojsku nie przeżył, nie wyobrazi sobie w co się człowiek w czasie wojny — jeżeli jest panem życia i śmierci swoich bliźnich — może zmienić! A zmienić się może w potwora, łajdaka, łotra, kanalię. Może uczuwać radość na widok męki i katuszy innych, a może także sam biec mordować, kaleczyć za błachostkę.

W czasie pokoju słynne były kary w postaci koszarniaka, ciuchy, dybów i t. d., zaś w czasie wojny najpopularniejszą karą, a raczej torturą był słupek, kara średniowieczna, okrutna i nieludzka. Polegała ona na przywiązaniu do słupka lub drzewa delikwenta, przy czym wiązano mu ręce i nogi grubym sznurem, poczym go podciągano wzwyż tak że nogami lekko tylko, lub wcale nie dotykał ziemi i właściwie wisiał. Po paru minutach podobnych męczarni nawet najsilniejszy nie wytrzymał, a ponieważ skazywano na słupek od 15 minut do półgodziny, ofiara zwyczajnie mdlała kilka razy, męcząc się niewymownie, ponieważ w omdleniu zlewano go wodą, a gdy przyszedł do siebie znowu mdlał i znowu go zlewano wodą do końca kaźni. Przypatrywałem się nieraz podobnym egzekucjom i dotychczas nie mogę zapomnieć wykrzywionych z bólu twarzy, zroszonych kroplami potu, męczonych ofiar austriackiego barbarzyństwa. Zdarzyło mi się, że i ja coś przeskrobałem (zjadłem zapasowe suchary) za co mnie kapitan skazał na słupek. Na szczęście rozpoczęła się bitwa i musiano mnie odwiązać. Ale od tego czasu unikałem słupka więcej, jak armat i kulek... W dniu 15 marca 1915 r. opuściliśmy front nad Nidą, udając się przez Węgry do Małopolski Wschodniej, bo widocznie austriacy dostali tam w skórę i żądali pomocy.

Maciej Czuła

*) Oficerowie austriaccy nosili — jak wiadomo — na kołnierzu gwiazdki.

Leonard Sobierajski

„...Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy"*)

Udział wsi w spożyciu papieru zapisanego.

Przyjętym wskaźnikiem stopnia cywilizacji pewnego środowiska jest ilość zużycia na głowę pewnych dóbr; czy to będzie mydło, czy towary włókiennicze, czy środki spożywcze. Przekonywującym dowodem cywilizacyjności jest również i ilość skonsumowanego papieru. Nas będzie tu interesował papier zapisany, a więc książka, pismo, gazeta. Jaki udział w spożyciu tych dóbr miała nasza wieś? Trzeba przyznać, że do połowy dziewiętnastego wieku prawie żaden. Wieś w swej masie zasadniczej nie przejmowała treści kulturalnych, przekazywanych z zewnątrz drogą zapisu. Jedyna lektura, która gdzie niegdzie „zabłądzała pod strzechy", to „książka modląca" jak nazywa ją Szarek, jeden z pierwszych chłopów XIX wieku, który schwycił pióro w swe zgrubiałe, nieporadne ręce.

To co nazywamy „kulturą ludową" było na terenie wiejskim przekazywane z ust do ust, z pokolenia w pokolenie. Pieśni obrzędowe, facecje chłopskie, to było zawsze „coś słuchanego" — nie ulegało zapisowi, dlatego było często przetwarzane, było zasadniczą miazgą, ulegającą ciągłej obróbce; było to istotnie „żywe słowo", właśnie w sensie niezakrzepnięcia, w sensie ciągłej odnowy — schemat tradycyjny wypełniała wciąż nowa treść.

Jednakże zasięg oddziaływania tej twórczości był horendalnie mały; często kończył się na jednej, lub co najwyżej kilku gromadach wiejskich, — poza region nie wychodził.

Ludowa literatura „mówiona" miała więc małą zdolność do wzajemnego przenikania się, do wzajemnego środowiskowego obdzielania się i wymiany. Tym bardziej, że aktualizowała się rzadko: obrzęd weselny, zrękowiny czy dożynki, bądź wieczory jesienne, spędzane przy przędzeniu czy gawędach sąsiedzkich, to były jedyne okazje, które wykorzystywał wiejski samorodny poeta, by tradycyjne schematy wypełniać własną treścią. Była to twórczość zamkniętego i chwilowego kręgu, nie posiadała odbiorcy „na wynos". Dlatego możemy ją nazwać twórczością nie uspołecznioną, nie stawała się dobrem wszystkich, przynajmniej całej warstwy chłopskiej.

Narzędzie uspołecznienia dóbr literackich jest pismo, warunkiem materialnym jego zaistnienia — papier. Papier zapisany ręką chłopa, czy zadrukowany jego rękopisem był na wsi zjawiskiem nienotowanym.

Sytuacja zaczyna się zmieniać w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego wieku. Twórczość wiejska pociąga już inteligenta miejskiego. Inspirację dał tu romantyzm, praktyczny wyraz rozbudzonym folklorem zainteresowaniom dali dopiero pozytywiści. Ośrodki miejskie były ich bazą, z której robili „wypady naukowe" w teren wiejski. Od tej pory inteligent miejski jest gotów udzielić i wsi jakiegoś kątka w swoich pismach. Zaczyna się od tego, kończy na tym, że sprawę przejmuje w swoje ręce obok patrona z miasta sam chłop — inteligent, by stworzyć pisma służące całkowicie wypowiedziom chłopskim. Do gromady wiejskiej zaczyna docierać gazeta, w której zabiera głos właśnie i jej przedstawiciel. W niej wypowiada się chłop — działacz społeczny i polityczny, wypisuje się chłop — poeta. I tak „słowo mówione" staje się ciałem. Okolicznościowa twórczość, przemijająca dawniej, ma już możność przekazania się drogą zapisu. Literatura ludowa dzięki papierowi i drukowi staje się wartością ogólnochłopską i ogólno-narodową. Papier zapisany dociera do dzisiejszejszej wsi. Chłop przyjmuje treści kulturalne zewnętrzne i spożywa „te treści", które wypracowują ludzie jego środowiska. Chłop ma już swoją inteligencję, swoją elitę wiejską, której powierza organizację swojego życia gospodarczego i kulturalnego. Ostatnich kilkadziesiąt lat w naszej historii sprawiło poprzez Ruch Ludowy, że pozycja papieru — dawniej dla wsi świecąca pustka, dziś wypełnia się już konkretną liczbą. Liczba ta stanowczo jeszcze jest za mała. Wieś nie jest dostatecznie przekonana „do czytania". Zobaczymy, może były tu przyczyny hamujące poza przyczynami natury historycznej.

Możność nabywania papieru zapisanego

J. A. Król w jednym z numerów „Wsi" pisze, że sztuka jest najtańszym dobrem biednych. Rzeczywiście, książka podróżnicza zaspakaja w pewien sposób naszą chęć podróżowania, nasze często bezbarwne i trudne życie otrzymuje jakby upragnione dopełnienie w opisywanych wydarzeniach bohaterów powieściowych, nasza chęć poznania świata — nasyca się pismem i gazetą. Słowo pisane człowieka jakby przedłuża. Wieś docenia jego potrzebę, pytanie zasadnicze, czy może ją zaspokoić. Jak wyglądała przed wojną możność nabywcza pism u chłopa? Przeciętny tygodnik kosztował około 50 groszy, dziś pismo tego typu co „Wieś", „Kuźnica" lub „Odrodzenie" kosztuje 7 złotych. Przy praktycznie przyjętym mnożniku 100 powinno dziś kosztować proporcjonalnie do przedwojny 50 zł. Kosztuje jednak 7 zł. Dlaczego? Na wydawanie pisma składa się kilka elementów, między innymi papier i druk. Otóż papier. Przemysł papierniczy dziś, to nie dawny kartel z struktury gospodarki kapitalistycznej, lecz to już instytucja społeczna, której zadaniem jest upowszechniać dobra przez siebie wytwarzane. Produkcja papieru w tym układzie nie jest kalkulowana na zasadzie maksymalnej rentowności z zainkasowaniem jej dla prywatnego producenta, ale na zasadzie jak najtańszego obsłużenia klienta, stąd daleko niższe koszta papieru. Tak samo przedstawia się sprawa z drukiem. Uspołecznienie drukarni daje w rezultacie niższe koszty, związane z drukiem pisma. Stąd „Wieś" może kosztować dziś 7 zł., a nie 50 zł. I to jest właśnie zdobycz dzisiejszej rzeczywistości. Taniość papieru pisanego — pisma, gazety, książki, udostępnia kulturę, stwarza możność jej upowszechniania. Wieś w masie swojej o tym jeszcze nie wie, żyje tradycją drogości pism z okresu międzywojennego. Jeszcze jedna drobna ilustracja dla przykładu. Inteligent wiejski chce poznać życie literackie kraju, kupuje powiedzmy między innymi (okres przedwojenny) „Wiadomości literackie" — cena 80 groszy. Przeciętnie równa się to cenie 8 jajek. Dziś „Wieś" czy „Odrodzenie" można nabyć za cenę jednego jajka. Oto rezultaty uspołecznienia pewnych gałęzi naszego przemysłu papierniczego czy drukarskiego. Słowo pisane jest dostępne dzisiejszej wsi. Słowo to ma wielką rolę do odegrania, jest ono tym cenniejsze dla chłopa-rolnika, że wypowiada je wiejska inteligencja, znająca potrzeby, aspiracje i dążenia dzisiejszej wsi. Ma dla swej wypowiedzi instrument — są nim tanie książki fachowe, tanie rzeczowe kalendarze, informatory i tanie pisma, które pozwalają chłopu rozeznać się w dzisiejszej rzeczywistości.

Przemysł Papierniczy — nowe możliwości dla wsi

Problem papieru rozpatrzyliśmy pod jednym kątem. Wieś tu jest jego odbiorcą, jest odbiorcą papieru zapisanego, papieru pakowego i bibułki papierosowej. Jest więc zainteresowana, jak pracuje instytucja, która jej tych wartości dostarcza. Cenną rzeczą jest komunikowanie społeczeństwu o przebiegach pracy w tego rodzaju instytucjach, jaką jest Centralny Zarząd Przemysłu Papierniczego. Otóż C. Z. P. P. nie dawno dokonał na Zjeździe w Jeleniej Górze sprawozdania z swojej działalności. Jest to również nie spotykana dawniej forma, pokazać uczciwie, otwarcie, jak wygląda strona wewnętrzna całego aparatu produkcyjnego, przedstawić możliwości na przyszłość, wmontowując je w ogólny plan gospodarowania państwem. Jest tu cały szereg zagadnień, które bezpośrednio wieś obchodzą i powinny być przez nią podjęte. Rolnictwo ma tu wystąpić jako dysponent surowców, potrzebnych przemysłowi papierniczemu. Jest to zagadnienie niebyle jakie, zwłaszcza dziś, gdy, jak to nam dowodnie przedstawił ideolog gospodarczy dzisiejszej wsi — St. Cieślak **) rolnictwo przestaje być opłacalne przy dzisiejszym stanie gospodarki naturalnej. Wieś musi podjąć każdą wysuniętą propozycję, rozpatrzeć ją poprzez swoje instytucje i zrealizować ją, o ile okaże się sensowna i wykonalna. W czym rzecz gdy chodzi o papiernictwo? Przemysłowi papierniczemu zagraża brak surowców dla produkcji półfabrykatów — celulozy. Nie ma dziś już dostatecznej ilości drzewa świerkowego na papierówkę. Można jednak wytwarzać celulozę ze słomy, jako celulozę słomową. Mamy już dwie fabryki takiej celulozy, projektowane jest na najbliższy okres sześć. Otóż inżynier E. Kraul (dyrektor techniczny Przemysłu Papierniczego) w swoim referacie na zjeździe mówi, że dla potrzeb produkcyjnych trzeba by tu słomy z powierzchni uprawnej 3.200 klm kw. Pytanie tu dla pojedyńczego rolnika jest jedno. Czy może sprzedać swoją słomę, gdy zużywa ją na paszę dla bydła i koni i pod obornik i czy sprzeda ją opłacalnie. Chłop pojedyńczy wobec tej sprawy może okazać się bezradny — bo żeby móc w ogóle sprzedać słomę, trzeba by przy gospodarce hodowlanej zdobyć inne pasze, tak samo i zmniejszoną ilość obornika zastąpić nawozami sztucznymi; chłop pojedyńczy może to zrobić tylko w oparciu o swoją gospodarczą instytucję, którą jest Zw. Samopomocy Chłopskiej. Otóż sprawa produkcji wysuniętej przez przemysł jest do przepracowania właśnie przez Z. S. Ch. I tu widzimy konieczność istnienia organizacji, reprezentującej interesy gospodarcze wsi. Trudno dziś wyobrazić sobie gospodarkę rolną prowadzoną luzem i samopas. Chłop ma dziś w swojej instytucji kogoś, kto wskazuje mu podaż i popyt, kto radzi mu o potrzebach rynku, kto ułatwia mu zorganizowaną sprzedaż. Problem zaopatrzenia przemysłu papierniczego w słomę, to problem, którego rozwiązanie powinien wziąć w swoje ręce Zw. S. Ch.

Jest jeszcze drugie zagadnienie. Surowcem do wyrabiania bibułki papierosowej były dotychczas szmaty lniane. Dziś ich nie ma. Cóż robić? Nauka idzie z pomocą. Można bibułkę produkować bezpośrednio z włókna lnu i konopi, czy jego produktów ubocznych. Surowce te znowu są w rękach wsi. A więc z jednej strony przemysł papierniczy, produkujący papier, tekturę, bibułkę, z drugiej wieś dostarczająca w części surowca — słomy, lnu, konopi (lub ich ubocznych produktów). Oto drogi współpracy między przemysłem i rolnictwem. Jest to jedna tylko z możliwości. A prawie każda gałąź przemysłu pozostaje w ścisłej korelacji z rolnictwem.

Wnioski

Chłop musi traktować dziś swoją gospodarkę jako warsztat pracy, który włącza się w gospodarkę ogólnonarodową. W związku z tym nie może gospodarować samopas, w sposób pierwotny, naturalny, gdyż wtedy sam źle na tym wyjdzie, bo prowadząc uprawy w sposób nieplanowy nie uzyska opłacalności swojej gospodarki, a poza tym nie spełni swego obowiązku wobec państwa, jako wyłączny jego żywiciel. Jako wytwórca rolny musi gruntownie znać zapotrzebowania, musi się orientować we wszelkich przebiegach gospodarczych, musi produkować nowocześnie i nowocześnie swoje produkty zbywać. Trudne by to było dla chłopa jako jednostki, jest natomiast do przeprowadzenia dla chłopa zrzeszonego w swojej zawodowej, gospodarczej i kulturalnej instytucji, którą jest Związek Samopomocy Chłopskiej.

*) Uwagi na marginesie Zjazdu Przemysłu Papierniczego w Jeleniej Górze w dniach 16 i 17 sierpnia 1946 r.

**) St. Cieślak, „Opłacalność rolnictwa". „Wieś" Nr. 33.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

W OSTATNIM 33 (61) NUMERZE „WSI" Z DNIA 25 SIERPNIA 1946 R.

Stanisław Cieślak — **Opłacalność rolnictwa**; Stanisław Piętak — **Nowe wiersze**; Mieczysław Suchocki — **Legenda o Piaście „Koło - dzieju"**; Piotr Chmura — **Piast był wywrotowcem**; Zbigniew Siedlecki — **Teatr ludowy dziś**; Józef Ozga - Michalski — **Opowiadanie z Lil**; Jan Aleksander Król — **Unowocześnienie teatru ludowego**; Stefan Lichański — **Nie taki diabeł czarny**; Jakub Wojciechowski — **Wyzwolenie**; S. — **Wyższa Szkoła Teatralna**; Mieczysław Bohatyrew — **Pozwólcie nam rosnąć**; — Korespondencja 4 ilustracje, ogłoszenia, 8 stron.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96 tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—012063

DOM HANDLOWY i HODOWLA ROŚLIN

kocesjonowana Agentura skupu wełny krajowej

R. T. FIJAŁKOWSKI i S-ka

ŁÓDŹ, UL. SIENKIEWICZA 76. TELEFON 221 — 37

POLECA:

Zboża siewne kwalifikowane (elity, oryginały i odsiewy) ■ Nasiona ■ Nawozy sztuczne ■ Pasze ■ Worki

Przestawiciel Państw. Zakł. Hodowli Roślin na wojew. Łódzkie i pow. Częstochowski

P.P.T. i M.R.

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO TRAKTORÓW I MASZYN ROLNICZYCH

CENTRALA: ŁÓDŹ, AL. KOŚCIUSZKI 46

TELEFONY: 110-24, 174-61, 152-35

ODDZIAŁY:

BIAŁYSTOK, BYDGOSZCZ, CIEPLICE, GDAŃSK, KATOWICE, KIELCE, KRAKÓW, LUBLIN, ŁÓDŹ, OLSZTYN, OPOLE, POZNAŃ, RZESZÓW, SZCZECIN, WARSZAWA

DELEGATURA W WARSZAWIE

DELEGATURA DLA SPRAW „UNRRA" W GDAŃSKU

ORAZ NA TERENIE RZECZYPOSPOLITEJ 247 STACJI

PIONIEREM MOTORYZACJI I MECHANIZACJI ROLNICTWA